

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 26 października 1952 r.

Nr 43 (377)

STANISŁAW WYGODZKI

Dziś naród wybiera

URODZIŁEM się w Zagłębiu Dąbrowskim, ale od wstępu lat tam nie mieszkam. Ilekroć wracam w rodzinne strony, ile razy spotykam znajomych lub przyjaciół z tamtych stron, tyle razy wracam wspomnieniami w przeszłość.

To, co napiszę, nie jest wynikiem spotkania z ludźmi Zagłębia, to wynik wycieczki w odległe czasy tamtej ziemi — w okresy wyborcze, w okresy wzmózionej pracy politycznej rewolucyjnego proletariatu, ale i wzmózonych represji. Wiecowano pod gołym niebem w błysku obnażonej szabli, w huku strzałów karabinowych.

Wiece odbywały się w nędznych dzielnicach robotniczych, na przedmieściach, na ludnych ulicach, wzdłuż domów, gdzie za oknami przebiegały kapitałści polscy wraz ze swymi sojusznikami obcokrajowymi, oczekując szarży i salwy wymierzonej w pierś polskiego robotnika, z lekkim przypatrywali się twardemu pochodowi polskich robotarzy. Wiece i masówki przedwyborcze odbywały się pod murami fabryk, pod bramami kopalń i razem wiecowali ci, którzy za bramą, na terenie zakładu wyrażali chęć wspólnej walki z tymi, co stojąc po ulicznej stronie bramy, nie mogli jej przekroczyć, ponieważ nie było dla nich pracy.

Były czasy, kiedy robotnicy nie odmykali bram, ponieważ właśnie strajkowali, ale były i czasy, gdy je zatraskiwano przed wyciekającym tłumem, ponieważ kapitałści ogłaszali lokaut. Jedno i drugie zjawisko było tak nieodrodne od istnienia kapitalizmu, od systemu wyzysku — jak to, że walkę proletariatu burżuazja usiłowała zdławić przy użyciu kul, szarż i wyroków sądowych.

Dziś bramy zakładów pracy — gdziekolwiek Polska — są zamknięte, ale tylko dla dywersantów i szpiegów, dla szkodników i wystanników imperialistów i owych osobników, którzy kiedyś z ukrycia śledzili, jak polska policja rozprawia się na polskiej ziemi z polskim ludem.

Wystarczy dziś chociażby przyjrzeć się, w jakich warunkach omaliliśmy Program Wyborczy Frontu Narodowego, w jakich warunkach wybierać będziemy do Sejmu i kogo wybierzemy, aby jeszcze raz uprzytomnić sobie, co się dokonało w naszym kraju. Wybierzemy ludzi, którzy pracą swoich rąk i mózgów stworzyli wszystko, czym się nasza ojczyzna szczyci. Będą wśród nich ci, którzy w przeszłości walczyli o wolność społeczną i ci, którzy nadaremno walczyli o prawo do pracy i chleba, będą i ci, którzy w tamtych warunkach nie mogli rozwinąć swoich zdolności, oraz ci, którzy już w warunkach wolności narodowej i społecznej swoją pracą zdobyli przodujące, czołowe miejsce w narodzie — wszyscy zespoleni jedną myślą: umocnienia naszej ojczyzny, wzmocnienia jej sił, spotęgowania jej obronności.

Jako pisarz popieram z całego serca Program Wyborczy Frontu Narodowego za Polskę, w której nie ma bezrobotnych, głodnych, bezdomnych, analfabetów, przeciwko wszystkim mrocznym siłom, które kiedyś na niesprawiedliwości i rozboju opierały swą władzę i przeciwko tym wszystkim, którzyby pragnęli odwrócić bieg naszych dziejów.

Stanisław Wygodzki

LESŁAW BARTELSKI

W imię przyszłości

STEFAN Żeromski nieustannie nawoływał w swych książkach do zerwania z marazmem i do walki o lepszą przyszłość narodu; wielki marzyciel, nie zwiąawszy się z jedyną siłą rewolucyjną naszych czasów — klasą robotniczą musiał pozostać osamotniony. A przecież jego wizje nie były tak nie-realne, jakby się mogło z pozoru wydawać — nosiły w sobie słuszne założenia, ich wcielenie w życie przyniosłoby niestychającą korzyść krajowi, ale przecież nie na tym zależało rządzącej nauce burżuazji. Była w społeczeństwie polskim siła, która mogła przemienić owe marzenia w czyn — Komunistyczna Partia Polski; w swym codziennym postępowaniu, w swej uporczywej walce komuniści marzytelstwu wielkiego pisarza przeciwstawiali realne ich spełnianie. Kiedy Żeromski wołał o szklane domy, Bolesław Bierut podpisywał akt założenia Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, stanowiącej pierwowzór socjalistycznej Warszawy. Kiedy Żeromski dopominał się o ujarzmienie Wisły, któż tego nie odczuwał silniej niż Bierut, którego ojcowiznę pochłonięła zaborcza, kapryśna rzeka? Program politycznych reform Żeromskiego, oparty był na współczującej wyobraźni, która podsumowała możliwości wielkich rozwiązań dziejowych, nie podając jedynie, kto miał je realizować. Te siły widział pisarz w narodzie polskim, zapominając, że jest on spętany przez burżuazję, nie zdając sobie sprawy, że tylko rewolucyjne przemiany mogą przywrócić narodowi wiarę we własne siły. Program KPP poszerzał wyobraźnię pisarza o ten zakres, którego Żeromski w pełni nie dostrzegł — o organizację, walczącą w imię przyszłości — o Partię.

My, pisarze współcześni, nie powinniśmy nic uronić z wielkiej spuścizny społecznej i politycznej Stefana Żeromskiego, zdając sobie sprawę z tego, że Jego gorące serce cierpiało razem z całym narodem, pragnąc mu przyjść z pomocą. Nie było dziedziny życia, której by On nie ogarnął, nie było zagadnienia, które by nie znalazło oddźwięku na kartach jego książki. I dlatego powinniśmy naszą pasję polityczną i społeczną kształtować na wzór Jego pasji, bogatsi o doświadczenia zwycięskiej rewolucji. Każdy dzień narzuca nam nowe możliwości wykazywania tej pasji, każdy bowiem dzień jest walką o przyszłość narodu. Akt wyborczy w swej istocie będzie potwierdzeniem i wyborem na rzecz tej przyszłości, aktem odwagi podjęcia odpowiedzialności za nią i przyrzeczeniem wypełniania zadań, jakie podejmujemy. Czytając program Frontu Narodowego dostrzegamy w jego realnych możliwościach wizję wielkiego pisarza, które wybrany przez nas Sejm jako najszersza reprezentacja narodu potwierdzi aktami ustawodawczymi. Wola narodu przemieni wizję jednego z naszych największych myślicieli, a zarazem tragicznego samotnika, we wspaniałą kształt budownictwa socjalistycznego.

Lesław Bartelski

SEWERYN SKULSKI

O j c z y z n o!

Tęskniłem za Tobą lata
W Bostonie, Kentucky, Toledo
Dymem spowiły i biedą
Na Wyspie Łez tego świata,

I o! Polsko kochana,
Nogami po Twoim tnie
Stąkam i serce mi płonie
Za noce, dnie i za rana,

Chodzę nogami własnymi,
Jak w lata minione młode,
I patrzę na Twą urodę
I miody ssę Twojej ziemi.

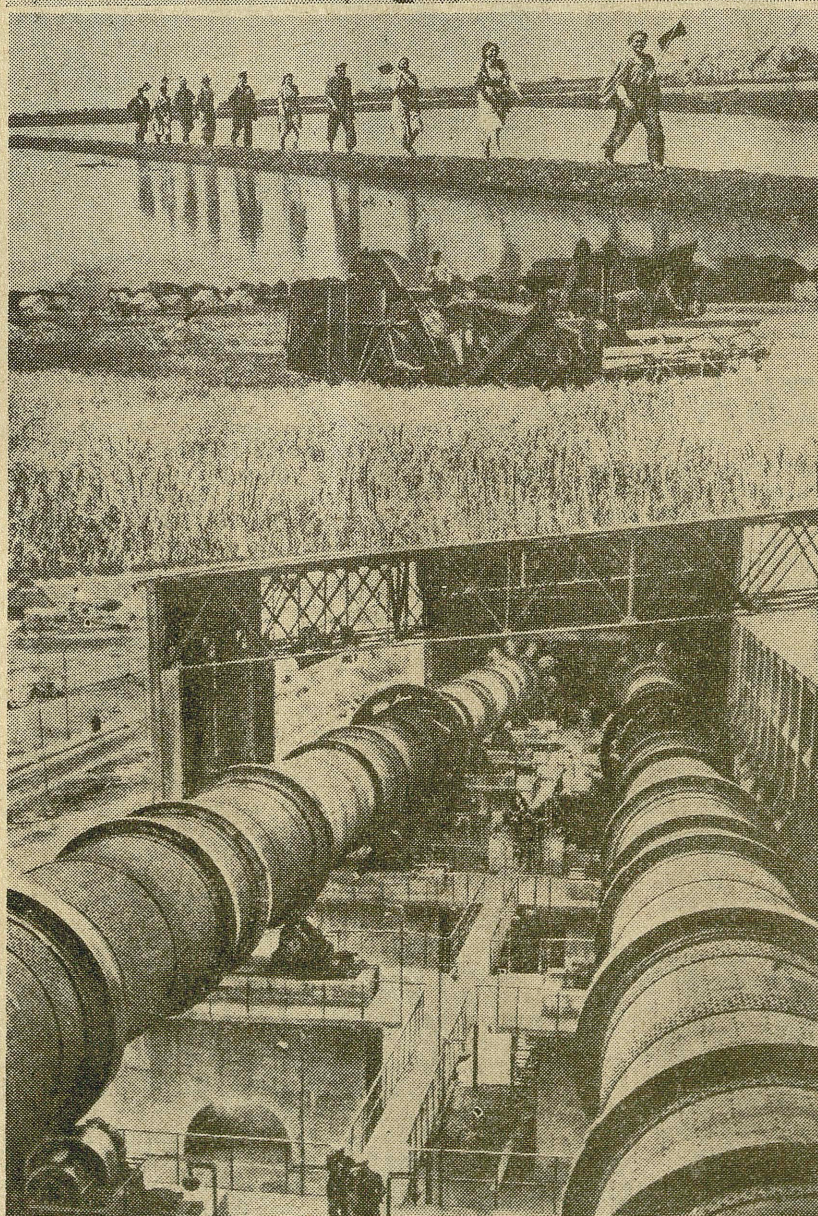
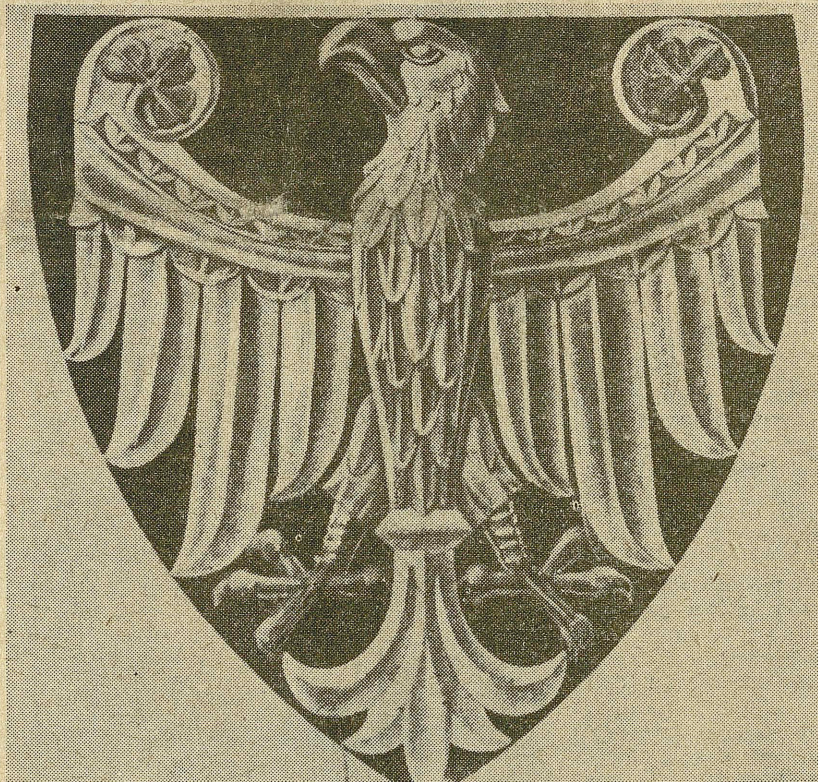
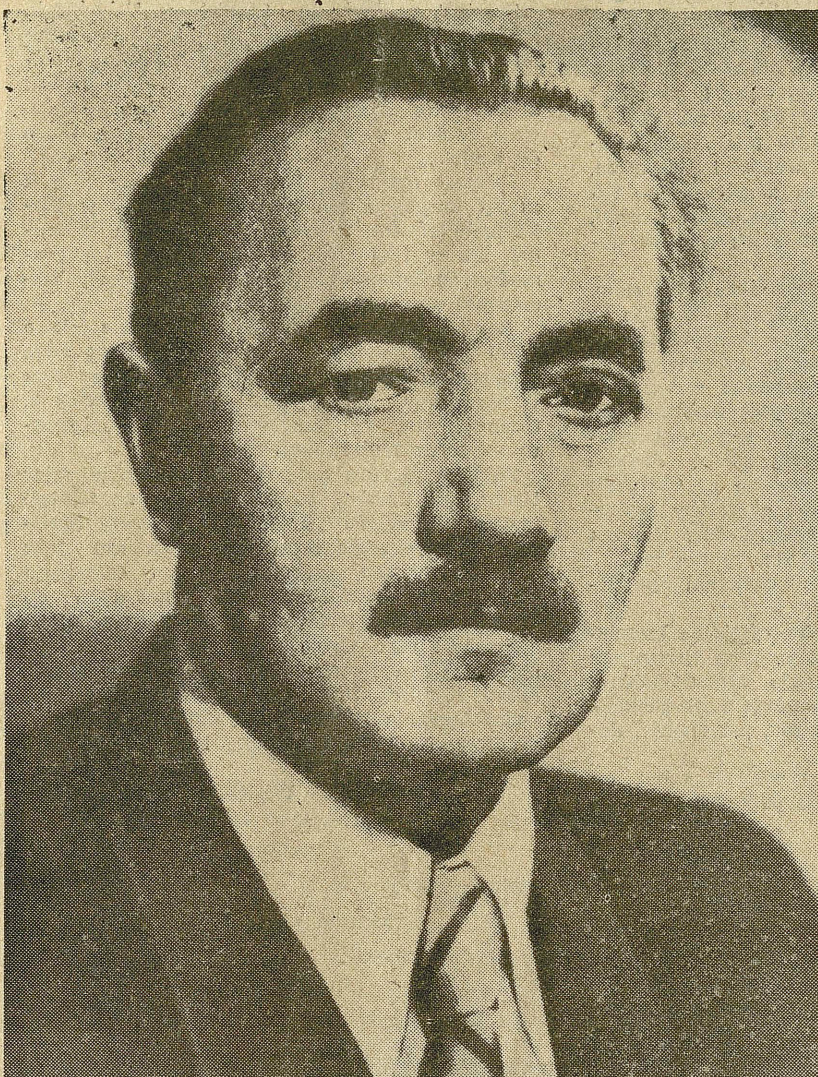
Nie mamy jeszcze w Polsce miodu,
Ptasiego mleka jeszcze nie ma

Lecz nie dla panów rodzi ziemia,
Dziś ziemia rodzi dla narodu.

Bo nikt nam tego nie roztrwoni,
Co nasze własne to nam wianem,
Naród jest swoich potów panem,
I własne losy mamy w dłoni.

Usczęśliwią się wście i grody,
Już takie czasy nie daleko,
Będziemy mieli ptasie mleko,
Będziemy mieli słodkie miody.

Wiemy, że będą, wiemy kiedy;
Po żmudnej pracy i po walce,
Będziemy z miodu liść palce
I z jaśniepańskiej śmiać się schedy



JERZY MILLER

Na dzień 26 października

O wczesnym świcie wyjdę z domu...
Aby ów dzień był cały rzeźki!
Dojdę do urny jak do tomu
Poezji z lutni czarnoleskiej.

Na wszystko, co podobne wiośnie
Będę głosował — aby kwitło,
aby dźwięczało tak donośnie
jak wiersz zaczęty od słów: „Litwo
Ojczyzno moja...” —

Lecz przeklnę tych, co chcą nas zabić,
zza oceanu dżumonośców!
I zabrzmi w głosie mym nienawiść
biorąca górę nad litością.

O wczesnym świcie wyjdę z domu
z pragnieniem: naprzód, naprzód iść! —
Dumny z przebytych dróg ogromu
Głos i Polska! — oddam, jakbym list,
tę kartę wstępu do przyszłości —
zaadresował i opłacił
daninę trudu i miłości
— przeciw zatręciu!

MARIAN PIECHAŁ

Na kogo oddam głos mój?

Kto się domagał prawa głosu
w ojczyźnie głodu i żandarmów?
— Ten, który walczył z wrogiem, wiedząc,
że nie przelewa krwi na darmo.

Kto wreszcie zdobył prawo głosu
i z mroku światłem w przyszłość błysnął?
— Ten, który walcząc, kraj wyzwolił
spod jarzma krzywdy i ucisku.

Komuż więc oddam głos mój wolny,
wyrwany z wrogich haseł ciżby?
— Temu, kto z ruin kraj podnosząc
jest krwią i solą mej ojczyzny.

Temu, kto wolność wywalczywszy,
odgruzowując ją spod zwalisk,
scala ją teraz i umacnia
cementem, co się zwie Socjalizm.

Na tego oddam głos mój, temu
powierzę w dłonie każdą sprawę,
kto dłońmi z pól nad normy dźwiga,
i Nową Hutę, i Warszawę.

WŁADYSŁAW UDALSKI

Kandydat ludu

Od pól nadleciał wiatr październikowy
i świt — jak sztandar — poderwał do szturm
przeciw ciemnościom i wroży rozmowom
chłopów idących całą wsią do urny.

W tej wiosce chłopci mają kandydata,
z którym przeżyli — tutaj — po sąsiedzku,
bunt przeciw nędzy w przedwojennych latach
i ból po kraju sprzedanym zdradziecko.

Przeżyli czasy klęski, gdy faszyci
zadusić chcieli opuszczony naród —
wtedy on wzniewał w nich żar nienawiści
i był dla ludzi płomieniem i wiarą.

On ich prowadził i znowu powiedzie
przez trudy nowe ku nowym zwycięstwom,
jak zawsze z nimi i zawsze na przedzie,
tam, gdzie odwaga potrzebna i męstwo.

Więc dziś w szumiące dni październikowe,
kiedy na Wschodzie komunizm już dnieje,
a na Zachodzie faszizm wznosi głowę,
takim lud zwierza swój los i nadzieję.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

PRZYJACIEL

Do połowy marca średniopiętna wykonywała plany dzienne i nadywiska, produkcja rosła. Od połowy marca wykonanie nagle zaczęło się załamywać. Strzałki wielkich zegarów nad wejściem do budynku fabrycznego wskazywały wykonanie dzienne i wykonywanie w miesiącu za okres ubiegłych dni, zostały przesunięte na lewo, poniżej cyfry 100, i utrzymywały się na cyfrach 96, 94, a nawet 92.

Wielu przypisywało to nagłym zmianom atmosferycznym. Po łagodnej zimie nadszła nad Polskę na przełomie wiosny i zimy fala mroźnego powietrza. W nocy mróz dochodził do piętnastu stopni Celsjusza.

— Dużo zawiłła pogoda — tłumaczyli majstrowie na odprawie u inżyniera Urbańczyka z udziałem sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. — Raz mrozy i suche powietrze, raz śnieg i wilgoć, na sali to chłodno, to gorąco, przęda się rwie, prądki nie nadążają z do-kręcaniem, produkcja spada.

— Nie opowiadajcie bajek, nie wierzę w bajki — inżynier Urbańczyk śmiał się rubasznie, a jednocześnie ruchem człowieka zmarnowanego pocierał zmarszczone czoło. — Dopilnujcie dokładniejszego czyszczenia maszyn. Przez sprawne funkcjonowanie obracników pokonacie kaprysy pogody.

— To nie tylko to — majster Jastrzębski wysunął inne zastrzeżenia. — Zmiana asortymentu powoduje przestoje maszyn. Na jednej maszynie tracimy od godziny do półtorej.

— Po odprawie majster Jastrzębski został jeszcze w gabinecie inżyniera.

— A jak pracują czwórki? — spytał Urbańczyk.

— Do połowy marca wykonywały sto pięć do stu siedmiu procent bazy.

— A teraz?

— Teraz różnie — odrzekł Jastrzębski wymijająco.

— Dlaczego?

Jastrzębski wzruszył ramionami.

— To ja wam powiem! Jak majster widzi przy maszynie człowieka — mówił z akcentem tłumionej gorczy — to do produkcji idzie. A jak majster komenderuje zza biurka w kancorku, to produkcja leży! Wystarczy nieraz, żeby

majster podszedł, okazał zainteresowanie, powiedział jakieś ciepłe słowo...

— Do mnie pójcie, inżynierze?

— Do was, kolego Jastrzębski! Bo mnie się zdaje, że wy zapomnieliście o waszych czwórkach.

To, co tutaj opowiadali o pogodzie, asortymentach i tak dalej, to są stare, znane trudności, które dawno już nauczyliśmy się przewidywać. Wszystko zależy od człowieka, a człowiek może dużo. Trzeba umieć tylko wy-każać ludziom do czego są zdolni i stawiać im przed oczami cel. Trzeba im przypominać o nim, bo ludzie łatwo gubią się w drobiazgach; taka już jest nasza ludzka natura. A jest co ludziom stawać przed oczami, warto im o niej pamiętać, bo cel przed nami wielki! Co wam zresztą będzie tłumaczyć? Dla was te sprawy powinny być jasne. Trochę o człowieku to nasz główny obowiązek.

Urbańczyk odwrócił się do okna i popatrzył na ulicę, na kobiety, spieszące do fabryki na drugą zmianę. — Powinniśmy towarzyszyć robotnikom, towarzyszyć im wciąż i wszędzie, myśłą i sercem, powinniśmy wiedzieć o ich zmartwieniach i radościach i dzielić je z nimi, i iść razem z nimi, prowadzić ich nie jak do-woźcy; jak przyjaciele.

Zażenowany ciepłą treścią własnych słów, umknął spojrzeniu majstra, odszedł od okna za biurko i stamtąd mówił zmienionym już tonem zrzędy: — A my co wiemy o naszych przadkach? Co wy wiecie o kobietach z waszych czwórek? Ze mała Kicińska jest ambitna? Ze Malinowska ma zwinne palce i jest zaradumia-ła? To mało, kolego Jastrzębski... Jeszcze mniej wiecie o innych kobietach z Czwartej Lewej. A która z nich nie chciała wyko-nać z honorem podjętych zobowiązań? Nie ma takiej. Ja, przynajmniej, myślę, że nie ma.

— To wszystko, co wam chciałem powie- dzieć — zakończył cierpko.

Ostatnie słowa miały suche, oficjalne brzmie- nie. I w chwili po wyjściu majstra Urbańczyk doświadczył czegoś w rodzaju niezadowolenia z siebie. Taki sposób postępowania z człowiekiem — rozważał — nie pomaga mu, przeciwnie, de- mobilizuje.

Niecierpliwym ruchem przeciągnął ręką po swięjących włosach, zapalił papierosa i nagle

odłożył papierosa na popielniczkę i wyszedł szybko na dwór.

Mroźny podmuch marcowego wiatru wionął mu w twarz i szarpał włosami.

— Jastrzębski! — zawołał inżynier na maj- stra, kroczącego wzdłuż czerwonego muru fa- bryki. — Jastrzębski!

Zbliżający się do przedziału majster odwró- cił się i zatrzymał pod zegarami nad wej- ściem. Inżynier wielkimi krokami dopadł do majstra i ujął go oburącz za ramiona. — Ja- strzębski, nie macie pretensji, że was obsztorco- wałem?

Chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu, z zaczerwienionymi od wiatru twarzami i roz- wianymi włosami, jak zacietrzewieni przeci- wnicy. I nagle obaj wybuchnęli śmiechem. — Nie, skąd inżynierze — mówił śmiejąc się majster. — Nie mam pretensji. Ale wejźmy do sieni, bo się zaziębicie.

*

Zamiast napisać, że Stanisław Urbańczyk, syn ślusarza, urodził się w 1900 roku w Ko- morowicach na Śląsku Cieszyńskim, że skoń- czył szkołę przemysłową w Bielsku, że potem nawet jako fachowiec nie mógł znaleźć pra- cy i musiał wywędrować z rodzinnych stron do Łodzi...

Zamiast opisywać, jak ten wytrwały Ślązak zaczął pracować jako prosty robotnik w Za- kładach Geyera, a potem — Ramischa w Ło- dzi, jak w 1945 roku zakasał rekawy i z gro- madą robotników przystąpił do odbudowy zni- szczonej przez hitlerowców fabryki...

Zamiast powtarzać to, co jest ważne, ale o czym już wiemy wszyscy, że dopiero władza robotników i chłopów w Polsce Ludowej dała Urbańczykowi, jak tysiącom jemu podobnym, możność zdobycia szlachetnego tytułu inżynie- ra — „oficera produkcji”...

Zamiast pisać o tym, w jaki sposób inżynier Urbańczyk doszedł do stanowiska naczelnego inżyniera Zakładu „B” ZPB im. Józefa Stali- na w Łodzi, gdzie robotnicy w uznaniu jego trudów, wysiłku, pracy i troski o człowieka pracującego wysunęli go na kandydata do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...

Zamiast tego wszystkiego wydało mi się słusznym podać opisane wyżej zdarzenie, które, moim zdaniem, lepiej niż najdłuższe życiorysy charakteryzujące inżyniera Stanisława Urbańczy- ka, jego troskę o człowieka i szacunek dla człowieka.

Władysław Rymkiewicz

TADEUSZ SZEWEERA

SOBOTNI WIECZÓR

Są takie zadeszczone dni, zasnute mgłami, kiedy jedynym, zda się, mar- zeniem człowieka bywa: dostać się jak najszybciej do ciepłego domu, by w kręgu jasnej lampy pochylić się nad książką.

Pamiętam taki dzień. Było to niedawno, w gorącym okresie podejmowania przedwy- borczych zobowiązań przez świat pracy. Miałem już za sobą wiele zebrań w łódzkich fa- brykach, bywałem tam z ramienia naszej roz- głośni radiowej. Na budowę rurowciągu Pilica — Łódź, wyznając to otwarcie, jechałem niechętnie. Pewne przemienienie pracą, kłopoty pogody, wreszcie niczym bliżej nieuzasadnione prze- konanie, że nie znajdę tam ciekawego materia- łu — to były zapewne główne przyczyny owej niechęci. Może nawet i to, że obiecywałem sobie solennie zabrać się tego dnia do „Pa- miątki z Celulozy”.

Mżył jesienny kapuśniaczek, na drogach po- tworzyły się bajora, wszędzie spływały z ok- ła-pów waziatkie strużki deszczowej wody.

Zatrzymałem się obok wsi nazwanej Górą Zieloną. Nigdzie jednak góry nie było. Wo- kół rozciągały się podmokłe pola, dalej aż po horyzont legły torfowiska, wśród których wila się leniwie mała rzeczka Miazga. Tuż przy jej korycie, w dwumetrowym wykopie pracowała brygada Cynkiera. Żal mi było tych ludzi serdecznie, nie chciałem przez delikatność wyszczągać rozmowy na temat zobowiązań przed- wyborczych, nie przypuszczałem, że je w ogóle podejmą w takich uciążliwych warunkach.

Minęło już sobotnie południe, powinni nie- długo wracać do domu.

— Jak spędzacie tomorrow wieczory sobot- nie? — to pytanie wydało mi się najsensow- niejsze.

Usłyszałem o prostych, ludzkich sprawach. Roman Cynkier, podobnie jak Bartosik i Just wraca do domu, przy ulicy Wilczej. Każdej soboty wyciąga się ku niemu sześć par rą- czek. Cynkier ma taki zwyczaj, że bierze ko- lejno małców na kolana, a następnie odbiera tygodniowy „raport” od najstarszego, który chodzą już do szkoły i zbiera same piątki. W czasie „odprawy dzieci” żona przygotowuje ko- lację, następnie rodzice wybierają się do kina.

EDWARD SZUSTER

MATKA, BABKA I WNUCZKA

Należy iść ulicą Stalina i minawszy wiadukt kolejowy skręcić w pierwszą ulicę na prawo. Zaraz za skrajem widać trzy smukłe wyrzyniki kominów fa- brycznych, wznoszące się nad niskimi zabudowaniami. Ulica biegnie lekko w górę, więc też komin wydaje się szczególnie wy- sokie i strzeliste. Stoją opodal siebie i trójce tę dostrzec można z każdego chyba miejsca w Piot- rowie. Tym bardziej, że w pejzażu miasta komin fabryczny nie występuje często. W okolicy Bu- gaju znajduje się jeden czy dwa, parę innych wznosi się w stronie stacji towarowej, a nad pół- nocną częścią miasta górują przede wszystkim te trzy komin „Hortensji” i „Kary”.

Ta sama droga, ku tym kominom, chodzi co dzień od wielu lat Maria Domagalska, brygadzi- stka huty „Hortensja”, dziś kandydat na posła do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z Okręgu Wyborczego Nr. 11 w Piotrkowie.

Nie łatwo jest, w okresie narastającej kampan- ii wyborczej znaleźć okazję do rozmowy z kan- dydatem. Domagalskiej nie ma w „Hortensji”, wyjechała w teren na spotkanie z wyborcami.

Nazajutrz rano nie można zastać jej w hucie. — Nie dziwnego — tłumaczy przewodnicząca Rady Zakładowej ob. Piechura — wczoraj była w terenie, późno chyba wróciła... Chcecie coś o niej usłyszeć, idźcie na oddział do ludzi, z któ- rymi pracuje.

Idę wzdłuż wielkiej, pokrytej szklanym da- chem hali, gdzie przy wielu różnych maszynach i przyrządach, przy szeregu stołów — szklanka,

butelka czy inny produkt huty przechodzi ze sta- nu półfabrykatu do stanu zupełnej gotowości. Jutro — być może — znajdzie się już na skle- powych półkach. Pracują tu prawie wyłącznie kobiety. Ma to takie — na pierwszy rzut oka — znaczenie, że pochylone głowy, owinięte zgrab- nie w chusteczki, wyglądają z daleka jak różno- barwne kwiaty.

I oto zbieram pierwsze wiadomości o kobie- cie, której nigdy nie widziałem.

— O Domagalskiej coś powiedzieć? — pyta z uśmiechem Emilia Laskowa. — No cóż, znamy ją tu od dawna. W strajku okupacyjnym, tym, co to był przed wojną, brała udział. Cały czas tu z nami pracowała na sortowni. Rok tylko, już po wojnie, była kierowniczką przedszkola, ale potem wróciła do produkcji. Pamiętam, najpierw była wycieraczką, później znów wiazarką, a je- szcze potem brygadystką. Człowiek z niej uczci- wy, mądry, porządny, o innych dbały...

Do rozmowy dołącza się Bronisława Suwar- towa. W czasie Referendum ołfamię pra- cowała, choć wtedy niespokojnie było u nas i niebezpiecznie. Teraz znów pierwsza jest do ekipy na wieś. A w ogóle to ludziom po- maga i do sprawy podchodzi serdecznie...

Szuwartowa, starsza już kobieta, pogrąża się na chwilę w zadumie, myśli jej biegna w prze- szłość.

— Wdowa — mówi — przyszła Domagalska na hutę, córeczkę małą i matkę miała na utrzyma- niu. A teraz z córką i jej mężem mieszka. Wy- chowała dziecko, sama jedna a wychowała,

W tej chwili jedna z robotnic komunikuje, że Domagalska już wróciła do domu,

*

Jeżeli można mówić o ciepłej atmosferze, wy- twaranej przez człowieka, to właśnie ona ude- rzyła mnie z miejsca. Przy pięciu stoi starsza, posiwiała kobieta, zajęta prasowaniem wstążki. Sześciolatnia dziewczynka z rozpuszczonymi, jasnymi włosami, spogląda ciekawie na niespo- dziewanego gościa.

Domagalska opowiada a Danusia, jej wnu- czka, słucha uważnie słów babki. Jej opo- wiadania o tym, że rozpoczęła pracę w „Horten- sji” w 1919 roku jako dwudziestoletnia panna... Jak w kilka lat później wyszła za mąż i zwinia- ła się z roboty, ale już w 1927 r. musiała znów do pracy powrócić, by po śmierci męża znaleźć możność utrzymania córki i matki... Kiedy po- tem, jako członek Komitetu Strajkowego, zosta- ła aresztowana i wpisana na czarną listę...

— Uwierzyć trudno, jakie to było życie — mó- wi Domagalska, a jej żywe, dobre oczy zasuwa- ciężej gorzkich wspomnień.

— Od 1932 do 1938 roku bez pracy, bez stałego zarobku. Prałam, chodziłam na posługę, drzewo w lesie zbierałam.

Danusia z uśmiechem patrzy na babkę i wea- le się nie przejmując opowiadaniem. Nie wierzy po prostu, aby mogło być to prawdą. Domagalska głodzi wnućkę po głowie.

Przez okno mieszkanka Domagalskich widać wielkie budynki, a obok nich las rusztowań otę- cza nowowznoszone mury.

— Kombinac — informuje Danusia, a jej ba- bka potakująco kiwa głową.

— Będzie znów potrzeba ludzi do pracy — mó- wi. — Tak to jest za władzy ludowej, że pracę i życie ludziom daje...

Edward Szuster

RYSZARD HŁADKO

„Między dawnymi a młodymi laty”

JESTEM synem robotnicy, któ- ra przed wojną najmowała się do każdej pracy, od mycia schodów, prania bielizny i sprzątania poczynając. W o- statnich dniach rozmowy mo- je z matką coraz bardziej przesuwają nas w przeszłość. Wspominaliśmy dziadków, a matka sięgała nawet pa- miącią do prababki.

Przecież jednak nie uciekaliśmy w przeszłość. Wspominki nasze zro- dziło zadziwienie i radość, że do wy- borów w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej pójdzie i starsze pokolenie. Pokolenie, którego młodość przypa- dla jeszcze na ostatnie dziesięciole- cie XIX wieku. Jakże to olbrzymi łuk historii! Zaczyna go świt na- dziei, nieznaną jeszcze milionom i nie do wiary często dla tych milio- nów, ledwo z pańszczyzny wygrzeba- nych. Świtem — Pierwszy Proleta- riat i jego walka!

Wśród najstarszego pokolenia, któ- re pójdzie do wyborów, a także wśród kandydatów na posłów z tego poko- lenia widnieje nazwisko Lucjana Rudnickiego. W jego drodze życia, zindywidualizowanej jak życie ka- żdego człowieka, a obejmującej tyle wydarzeń, czynów i przeżyć, że wy- starczyłoby ich na dziesięć żywo- tów ludzkich — odczytuje bogaty wariant wspólnych i powszechnych losów klasy robotniczej. Odczytuje odzwierciedlenie wzlotów i upadków, pomyłek i sukcesów ruchu robotni- czego, jego drogi walki o wyzwole- nie proletariatu, o wyzwolenie na-rodu.

Niech mi więc będzie wolno przy- pomnieć życiorys Lucjana Rudnickiego, w szczególności pierwszy, naj- dawniejszy okres, w którym jakieś trudno było jeszcze człowiekowi dła- wonemu nędzą, wyzyskiem i poni- żeniem dostrzec prawidłową, jedyną drogę walki, jedyną perspektywę u- cięmielonych i poniżonych. Jakże trudno było wypłatać się ze zwię- ków i organizacji, które nie szcze- dziły oszukańczych haseł, a były najgroźniejszymi wrogami jedynej przedstawicielki klasy robotniczej, ludu wiejskiego i całego narodu.

Ale też w życiorysie Lucjana Rud- nickiego z dumą oglądamy ciernistą drogę przedzierania się już przed pół wiekiem poprzez zasieki przesą- dów, magii średniowiecznej i szarla- tawstwa burżuazyjno-nacjonalistycz- nego.

*

Lucjan Rudnicki pochodzi z osady- miasteczka Sulejów. Ojciec jego był już wyrobnikiem w młynie. A przecież rodzina powoływać się mo- gła na pochodzenie szlacheckie. Ale los szlacheckiego „drobiazgu” w la- tach po sześćdziesiątych rozwijał się nieubłaganie według praw kapitaliz- mu: szlachetka-rzemieślnik-robotnik. Ojciec jeszcze rzemieślnik, a syn już od murarskiego terminu i ciesielski dojdzie aż do wielkich hal fabrycz- nych wiewskiej manufaktury.

Sulejów — Łódź. Świadectwo ol- brzymiego skoku, gwałtownego prze- sunięcia się na ekonomiczne i klaso- we pozycje proletariatu. Lecz do przełomu ideologicznego jeszcze stąd daleko. „Wiedziałem dokładię, gdzie jest niebo, gdzie piekło, co to jest dusza i Kościół jako organizm spo- łeczno-boży” — pisze Rudnicki o tym okresie. „Kapliczkowa atmosfe- ra domu, atmosfera strzelistych ak- tów, nowenn i suplikacji, kult Naj- świętszej Pani, świętych obraz- ków i ksiąg, czci do nabożeństwa” — wszystko to długo mroziło jego u- myśł i przez dłuższy czas mistycz- nym pokostem zabarwiał jego so- cjalizm, było też źródłem wielu po- myłek i polknięć ideologicznych. Nie inny był też w tym czasie młody ruch robotniczy w Łodzi, kiedy zbun- towani wybierali króla na Placu Wolności. Jakże jeszcze zadziwiająco łatwo było w tym czasie godzić „ży- woty świętych” z Darwinem a bi- blię z broszurami PPS-u.

Ale praca w środowisku robotni- ków łódzkich, włączenie się do robo- ty partyjnej w szeregach PPS-u, nie- przerwanie chłonny kontakt z na- cjonalistyczną lekturą prowokowały konieczność uporządkowania spraw ideologii — uzgodnienia jej z działal- nością praktyczną.

„Miałem do wyboru: albo idąc drogą wskazaną przez spowiednika — zasużyć na niebo albo ucząc się i walcząc razem z towarzyszami — iść do piekła”. Rudnicki wybrał dru- gie. Wprawdzie był to jeszcze wy- bór „z dwójga złego” niezbędny wszelako jako punkt wyjścia.

Do rewolucyjnej świadomości je- szcze stąd było daleko. Na oficjal- nych lekcjach PPS-owskiego „mar- kszizmu” szkolony, marzy o Polsce Mocarstwowej, która powstanie bez czyjejkolwiek pomocy. „Zgadzałem się na konieczność zjednoczenia sił wszystkich narodów w państwie do walki z samowładztwem, ale... pod- kreśliłem, że Polska samodzielna mo- że się bardziej zbliżyć do socjalizmu niż w związku z Rosją”. Wspólna wówczas praca ze Sławkami, Sle- wińskimi, Gumplowiczami i innymi — śmietanka PPS-u — późniejsza czołowa pilsudczykowskiej mafii, kontakty z kawaliarnią młodopol- szczyzną Krakowa i „patriotyczny- mi” kiczami Styki omamlały go me- sjanistycznym nacjonalizmem.

W pierwszej misji partyjnej w Za- głębiu Sławek poprawiał go według PPS-owskiego programu solidarzy- mu klasowego: „...z inteligencją na-

leży postępować ostrożnie i umiejęt- nie, sprawy narodowe na pierwszym planie, inaczej pójdzie ona razem z endeckimi”. Potem w Krakowie — w bezpośrednim zetknięciu się z owym środowiskiem „mecenasów” partyj- nych, którzy palcem w bucie nie ki- wnęli dla partii bez zapłaty i w pier- wszym swoim uwięzieniu dostrzega kontrast:

„Bрудna cela Telegrafu” krakow- skiego z rozłożonymi na prcach łachmaniarzami uosabiała kapitali- styczne rządy na całej kuli ziem- skiej. Zrozumiałem praktyczne zna- czenie hasła: „Proletariusze wszyst- kich krajów łącznie się”. Prysnołę o- drętwienie, wyprostowałem się, shar- dzałem i gdy patrzyłem bez wstępu już na śpiących współkolegów, chcia- łem mi się wołać: „Ocknijcie się, wsta- wajcie!”...

Z kimże się więc łączyć? Odpo- wiedzi na to pytanie poszukiwał go- raczkowo w wiezieniach Sieradza i Piotrkowa, w moskiewskich „Butyr- kach” i na zesłaniu w Archangielsku. Nie było przypadkiem, że udzielił mu jej nie teoretycy z PPS-u, lecz ro- syjscy i polscy socjaldemokraci. Udzieliła mu jej rewolucja 1905 roku nagłym błyskiem oświećla- jąca potencjalne możliwości ro- syjskiego proletariatu. Pierwszy refleks dała „Iskra”. „Z takim zachwytem i zainteresowaniem czy- tałem jedynie astronomię w Ło- dzi. Historię Wielkiej Rewolucji Francuskiej Migneta i Socjologię Spencera w Piotrkowie. Nie wiedzia- łem jeszcze nic o dwóch prądach wśród socjaldemokratów rosyjskich, nie znałem nazwisk działaczy, którzy je przedstawiali. Tytuł „Iskra” choć wyraził mi wiele mi mówił, ale artykuły o celach i metodach walki, częściej tylko dla mnie zrozumiałe, oszałamiały jak wielka sztuka, której się nie rozumie, ale odczuwa. Kore- spondencja z ośrodków przemysło- wych dostatecznie jasno mówiła o wielkości ruchu. Później dowiedzia- łem się, że to była sławna „Iskra” Lenina, która wzniciła wielkie płomie- nie i spowodowała przewrót w całym świecie”.

Butyrki i Archangielsk zetknęły go praktycznie z zagadnieniami ro- syjskiej socjaldemokracji. Bardziej mu odpowiadała teraz federacja „z balszewikami z Butyrek”, niż zaleca- na przez górę PPS federacja z Li- twą, Rosją i Infantami. „Jaka tam Rosja będzie, to będzie, ale na bz- szewikach w rewolucji można wz- sze polegać” — powie z satysfakcją.

My wiemy, że to nie była jeszcze pełna świadomość — to był impuls. Rudnicki nie potrafił jeszcze zadyk- tować i opowiedzieć się całkowicie po stronie esdecji. Kto ma rację? PPS czy esdecy?

„Na zebrańskich kółkowych można było wysuwać dążności pepesowskie, na masówkach musiałem przemawiać po esdecce, jeśli chciałem żeby mnie słuchano. Stawałem się instynktow- nie jednym z masy, nie spostrzegaj- ąc się z początku, że postępuję ina- czej, niż w Częstochowie. Sprzeczne zasady układały się w mej głowie obok drugich”.

Ale — „z chaosu lewicowo-prawi- cowego w partii wyłaniała się prze- ciwstawność fundamentalna: proleta- riat-burżuazja”.

Praca wśród robotników Białego- stoku i agitacja wśród górników So- snowca dokonały reszty. Spokojna i rzeczowa replika górniczego działac- iza esdecji Tow. Witolda, mówiącego o wspólnej drodze socjaldemokratów polskich i rosyjskich postawiły Rud- nickiego ostatecznie po stronie re- prezentującej rzeczywisty interes polskiej klasy robotniczej.

Na konferencji okręgowej PPS-u czyni pierwszy świadomy krok będą- cy wyrazem nowego stosunku do ruchu: przeciwstawiając się izolacyj- nej polityce partii, domaga się ścisłej współpracy z socjaldemokratami i nawiązania porozumienia z Rosyjską Socjaldemokratyczną Partią Robo- tniczą — rzecz jasna bez skutku. I gdy po raz wtóry trafi za kraty, piotrkowskiego i kaliskiego więzie- nia wstępuje tam do SDKP i L.

O tym, co najważniejsze, najbar- dziej twórcze w jego życiu powie nam sulejowski kandydat w następ- nych tomach swej autobiografii, nad którymi nieprzerwanie pracuje. Ale już dziś wiemy, że nie było to życie łatwe, bo znaczący je lata wytężonej pracy i walki w szeregach PPS, SDKP i L, w konspiracyjnej wresz- cie działalności KPP. Lata doryw- czej pracy i głodu, przesładowań i wiezień, przede wszystkim zaś lata nieustannej służby dla klasy robo- tniczej, wiecznego niepokoju sumie- nia, uparcie szukającego prawdy i drogi.

Lucjan Rudnicki — to kandydat na posła, wywodzący się z najczysty- niejszej naszej spuścizny, spuścizny polskiego proletariatu. Arka przy- mierza między dawnymi a młodymi laty. Jako wybierający po raz drugi w naszej odrodzonej ojczyźnie głosu- je za ciągłością tej tradycji, którą sam tworzył. Jako wybierany — po- twierdza słuszność drogi, po której kroczył.

Ryszard Hładko

NIECH będzie pozdrowiony dzień WYBORÓW

Wielki zjazd narodu

WYBORY 26 października będą jakby wielkim zjazdem całego narodu. Jakby się tak naraz odbyły wszystkie zjazdy spółdzielców, kobiet, techników, rad terenowych, przodujących chłopów, niby jeden wielki Kongres Ziemi Odzyskanych co nie tylko są na Zachodzie ale w całym kraju, bo w całej Polsce chłop odzyskał ziemię macierzystą.

Z tą tylko różnicą, że na ten Zjazd w większości pomaszujemy. Ale nie będzie to marsz, jak przed wojną, głodujących i bezrobotnych pod magistrat. Będzie to marsz sytych i mających pracę. Marsz obywateli rządzących jednocześnie.

Do tego tytułu — obywatela i ja roszczę sobie prawo. Z początku w Ujeździe Górnym w powiecie Sroda było mi ciężko. Ale dzięki władzy ludowej w 1946 r. wjechał na moje pole traktor. Już miałem lepszą nadzieję. W 1947 r. otrzymałem od państwa konia. Już byłem pełnej nadziei. A dziś na moich 7 ha mam 3 krowy, konia, 6 łuczników, 50 sztuk drobiu. Dziś już odstawilem na 3 tony zboża — 3 t. 600 kg., na 380 l mleka oddałem już 1870 l a do nowego roku oddam ponad 2000 l. Plan miesięczny wykonałem a dodam jeszcze 4 łuczniki, ziemniaków przypada na mnie 2100 kg — dam 2500 kg. Należności pieniężne uregulowałem już we wrześniu.

Idę więc z czystym sumieniem do Wyborów. Pójdą też moi sąsiedzi, bo wszyscy stanęli na nogach i u nas podniosła się wydajność z hektara od 3 do 6 q. Tak też będzie w naszej okolicy. Jedyną gromadą, Piermo, która ułokła się na szarym końcu, też przyspieszyła kroku. Tam, sam pan sołtys Józef Jaworski nie wywiązał się należycie i jego kumotry. Takich przywódców Piermo nie potrzebuje i nie pod ich przewodem pójdzie do Wyborów.

Władysław Wojtowicz
Ujazdów Górny — pow. Sroda

Choćby to było 100 km...

CHOBY to było 100 km., pójdę do urny wyborczej dać głos za Frontem Narodowym. Bo pomnę, jak to w sanacyjnej Polsce wędrowali moi rodzice od folwarku do folwarku, od kulaka do kulaka. Ojciec ciągnął na postronku krowę, a na plecach dźwigał najmłodszego dziecko. Matka w zawiniątku nosła cały sprzęt domowy a drugą ręką sterowała stadkiem starszych dzieci. Taką to wędrowną rodziną zsiłszy w życie bez nadziei.

Kiedy się ożeniłem żona krzyczała aby nasze dzieci nie miały cygańskiego żywota. Ale próżno było wołanie. Najpierw na Sejmie Witostowcy chcieli dać ziemię na wysoki wypłat, czyli kulaków zrobić królami na wsi, Brylowcy żądali bez wykupu. Ale to wszystko była szachrajka, skoro obszarnicy folwarki utrzymali i chłop biedny ziemi nie zobaczył. Taka Polska wreszcie się w próchno rozsypała. Bo kiedy hitlerzy podęptali naszą ziemię i spróbowali postawić swój but w kraju Socjalizmu, radziecki naród przegnał przez od siebie i z Polski obce i nasze zaprzaństwo.

Odbylem ostatnią wędrowną na Ziemi Odzyskanej. Zakorzeniłem wreszcie moją rodzinę. Skończyło się pohańbienie w jakim żył moi rodzice i ja smat czasu. Dzisiaj mam krowy, jałowki i konia. Córce w zamęcie podarowałem krowę na szczęście. W tarnopolskim województwie było może dwie cukrownie, tutaj po kilka w powiecie. Wtedy żaden chłop niczego nie kontraktował, dzisiaj władza robotniczo-chłopska wlała w nasze głowy rozum. Kontraktację buraka, len, konopie, rzepak. Dzisiaj jestem obywatелеm. Dzisiaj dzień do dnia niepodobny, a każdy prowadzi wprzód. Toteż ani o krok nie odstąpię od linii Partii i Rządu, co prowadzą nasz naród do potęgi i uczciwości.

Tutaj też, na Ziemiach Odzyskanych dokonam żywota mojego. Ojczyzno ty nasza!

Piotr Powszek
Piskorzyna — pow. Wołów.

Kto mnie wygnał?

KTO wygnał mnie w 1913 r. za granicę? Nędza! Byłem synem formalnym, rodem z Zagóścia w Pińczowskim. Otaczał nas wokół folwarki margrabiego Wielopolskiego. Ród jego podobno na interesach kapitalistycznych dopiero sto pięćdziesiąt lat temu dorobił się herbu arystokracji. A ja na tych interesach dorobiłem się losu emigranta bez ojczyzny. W 1913 pojechałem do Szwecji i tam pracowałem jako robotnik rolny. W 1919 r. wróciłem do kraju, bo pisali, że Polska Niepodległość odzyskała. Ale bogać tam. Od pierwszej chwili widziałem się, jak sprzedawali wolność, jak handlowali majątkiem narodu. Kiedy Piłsudski zrobił zamach majowy, dla takich jak ja biedaków w „Niepodległej” miejsca już nie było.

Kto wygnał mnie w 1926 r. do Argentyny? Nędza! Po czterech latach uciekłem z tego piekła do kraju. Były to lata kryzysu, najgorsze lata przedwzrostu.

Kiedy myśmy po wyzwoleniu szli na Ziemię Odzyskaną — Polaków, którzy podczas okupacji walczyli na Zachodzie, gnano do Australii, do Afryki albo wprost do kopalń brytyjskich. Kto ich tam gnał? Tzw. rząd londyński. Jeszcze nie dawali Polakom ojczyzny. Kiedy myśmy zagospodarowywali Śląsk Opolski, Mikołajczyk głosował na „nie”. Jeszcze ten stugus dolara i szterlinga odbierał chłopom i robotnikom ziemię ojczystą. Aleśmy oczyścili ruch ludowy z bakcylów mikołajczykowski i ugruntuowali pod przewodem klasy robotniczej władzę ludu i wolność narodu.

Dzisiaj budujemy Polskę silną jak nigdy w historii. Emigranci, których wypędzano z ojczyzny! Sezonowi, których gnano na Saksy i do Brandenburgii, których pędzono po kraju jak dzikie ptactwo! Matorolni, którym ziemię ojczystą wyrwano spod pług! Legionie bezrobotnych bez miejsca i pracy w Polsce kapitału — Wy wszyscy prowadząc dziś wieś polską do Wyborów wołajcie: chłopie polski, strzeż jak żrenicy oka Ojczyzny wolnej, ojczyzny ludu pracującego!

Piotr Żmuda
Sadlno — pow. Żąbkowice Śląskie

Głos żołnierza

JESTEM żołnierzem Wojska Polskiego. Stoję na straży pokoju i rozkwitu naszej Ojczyzny. I gdyby mnie ktoś zapytał: chłopcze, nie powtarzaj jak z nut tego, coś wyczytał o wielkim Planie 6-letnim, powiedz — jak w Twojej wiosce? Odpowiedziałbym — w mojej wiosce, jak w całej Polsce robotników i chłopów. Moja wioska zwie się Przeginia, leży w powiecie olkuskim, gdzie przed wojną marli chłopci na głodnym zagonie. Na 1000 ha żyło 300 rodzin a 2000 ludzi. Najbogatsi posiadali tu 7 ha, większość 1 — 3 ha piasku pod Biedowską Pustynią. Na 2000 ludności ledwie 5-ciu pracowało w olkuskiej fabryce, w szkołach uczyło się czworu z bogatszych rodzin. Opisał wstrząsającą naszą stronę Józef Pogan. Ja dodam, że nawet do kościoła chodzili ludzie boso. Gdybyśmy wówczas byli żołnierzem a miał pełną świadomość polityczną, czułbym się zandarmem ludu, któremu wteknięto broń, aby służył burżuazji przeciw ludowi i doczekalbym się wrzesniowej zdrady tych, co kazali żołnierzowi przysięgać.

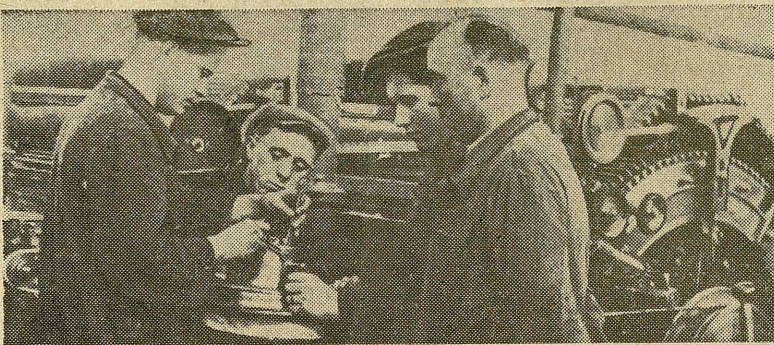
Ja mam to szczęście, że jestem już żołnierzem Odrodzonego Wojska Polskiego, Wojska Ludowego. W mojej wiosce płonie dziś światło elektryczne. 300 osób pracuje w Zagłębiu i na Śląsku w hutach i kopalniach. Ponad 100 na wielkich budowlach socjalizmu, w Nowej Hucie, Bolestawiu i Krzeszowicach. Prawie 200 córek i synów chłopskich uczy się w szkołach średnich i zawodowych. Wielu już należy do kadry naszej nowej inteligencji. We wsi jest biblioteczka, GOM, GS, poczta, telefon, w pobliskich Jerzmanowicach mechaniczna spółdzielnia rzeźbiarska, która zatrudnia wielu dawnych chałupników. Bieda olkuska należy już do bezpowrotnej przeszłości.

Na straży takiej to wioski stoję ja — jej syn, żołnierz Wojska Polskiego.

I duma rozpiera moje piersi i miłość i siła, którą w żołnierza dał wlewa jego rodzinna wioska, jego ojcowiska fabryka i miasto, skąd rodem.

Ja żołnierz Wojska Polskiego dlatego stoję teraz na straży rozkwitu mojej ojczyzny i we mnie tkwi siła naszego narodu, który przez osiem lat tyle już zbudował i nie spocnie w tej pracy, aby za przykładem Związku Radzieckiego uczynić Polskę mocną, szczęśliwą, socjalistyczną. Taki jest nasz wspólny Program Wyborczy — żołnierza z miasta i mojej wioski, która w najbliższym czasie zamierza zorganizować spółdzielnię produkcyjną, wybudować Dom Kultury i dokończy budowę drogi, łączącej najkrócej Olkusz z Krakowem.

śr. szer. Edmund Piekarczyk



JAN CZARNY

WRZUCĘ SWÓJ GŁOS DO URNY

Zeby nie błąkać się pośród ruin
pod czarnym niebem,
by w obcym kraju głodów nie sycić
Aby nie wracać drogami wojny
zebraczym chlebem
do pustych mieszkań,
z których nad świeże groby najdroższych
prowadzi ścieżka.

By nie płakały w studni suteryn
gruźlicze dzieci,
gdy ojciec nocą stukną w kopyto,
kaganek świeci.

Aby nie mierzyl w pierś bezrobotnych
stalowy bagnet,
dla jednych życie nie było sjęstą,
dla drugich, bagnem.

By dzieci miały przyszłość jak światła
na MDM-ie,

by kwitły miasta, traktor przemierzał
spółdzielcze ziemie.

By krzywa planów, drzewo czerwone,
rosła do góry

i cały kraj był pięknym pałacem
pracy, kultury —

Wrzucę swój głos
do urny.



PIOTR WYROBEK — chłop z Osiełka

W 83 ROKU ŻYCIA

Nim jeszcze byłem w szkole
(nigdy o niej nie słyszał)
mój ojciec mi na stole
litery kredą pisał.

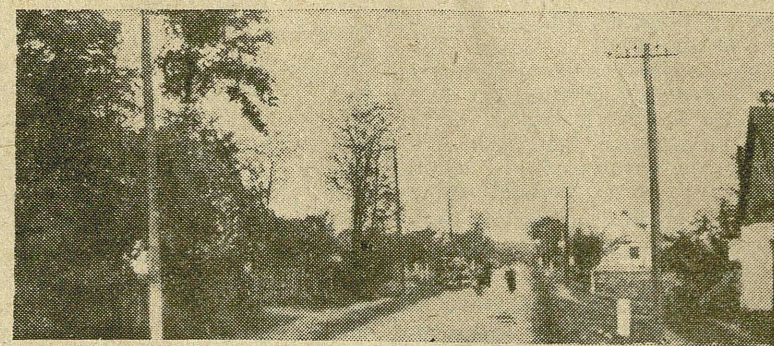
Gdy napisał rząd cały
liter dużych i małych
nazywał je: a - be - ce -
i pokazywał palcem.

Trudne w niewoli było
to nasze życie chłopskie,
jednak przez kordony szło
wskazać drogę do Polski.

Dziewiąty krzyżyk dźwigam
lecz czasem tak niechęć
do pióra się zabieram
i jakoś wierszyk skleję.

I cieszę się, że jeszcze
mogę w Polsce Ludowej
napisać o Niej wierszyk
żem w Froncie Narodowym.

Staremu sprawia radość
życie Polski Ludowej,
że może w wyborach stanąć
we Froncie Narodowym!



Na naszą przyszłość

MOJA wieś Nowo-Berezowo leży w pobliżu Puszczy Białowieskiej. Tam do niedawna chłopci chodzili brodac, jak żubry, tam nędza i ciemnota czyniła nas podobnymi do dzikich zwierząt. Tutaj była Polska B. Tutaj, choć przyszło najwcześniejsze wyzwolenie — najdłuższy krył się i kasał wróg. W naszej okolicy z rąk NSZ-owskiej bandy „Burego” padło wielu działaczy Partii i ZMP. Myśmy najdłuższy przechodzili okres walki z kontrrewolucją zbrojnych band. Może dlatego Białostockie powoli zrozumiało rzecz tak ważną, że rozwój całego kraju i wszystkich ziem postępować musi planowo a więc w kolejności, o której decyduje budowa fundamentów naszego dobrobytu: ciężki przemysł. I na naszą ziemię przyjdzie kolej. I ją uzbroi wielki przemysł i wielkie kanały spławne. To jest nasza przyszłość. I na nią my będziemy głosować we Froncie Narodowym. Bo dla synów, którzy poszli do wyższych szkół, nasi ojcowie nie oczekują tylko posady. Moja wieś wydała już inżyniera-agronoma, wydała już inżyniera-elektryka, inżyniera samochodowego, profesora, inżyniera-architekta L. Jaroszewicza. W Gliwicach na Studium Przygotowawczym są przyszli inżynierowie hutnictwa, synowie biedniaków — M. Bocianowski i Pietruszewski. Nasi ojcowie widzą w nich namacalnie kadry nowego budownictwa. Ludzi, których Polska Ludowa powołała do stworzenia ojczyzny potężnej i bogatej.

5-tego sierpnia br. zorganizowaliśmy spółdzielnię produkcyjną w naszej wsi. Weszło do niej ponad 20-tu członków. Matka moja pierwsza podpisała statut. Ojca musiałem przekonywać. Ale przekonałem. Do naszej spółdzielni wrócił syn średniaka, Mikołaj Hiaszuk, jako inżynier-agronom, pracować dla nas i dla gminy.

Idziemy głosować na naszą wspaniałą przyszłość. W nas jest siła nowego, która pomoże stać się naszym Planem krwi i ciałem. Niech żyje sojusz robotniczo-chłopski!

Mikołaj Moroz
Nowo-Berezowo — gm. Hajnówka.

Wolne wreszcie wybory

Z mojego punktu widzenia dopiero teraz, w Polsce Ludowej, mamy wolne wybory. Bo za sanacji? Jak było głosować na komunistów kiedy taki kandydat, gdyby się ujawnił, zaraz by go pochłonięto więzieniem. A listy Partii pod każdym pozorem były uwiązane. Głosować za endecją, za obszarnikami i fabrykantami? Znacząco to powróć kreć na szyję ludu wsi i miast. Głosowaliśmy na Stronnictwo Ludowe. Ale chociaż, jak w 1935 r. nastraszaliśmy górę, bośmy żądali na Kongresie reformy rolnej, unarodowienia przemysłu, banków i lasów, ale góra trzymała za jedno z burżuazją. Mikołajczyk już się ćwiczył w marszu do Londynu i Waszyngtonu. Było jeszcze czwarte wyjście: bojkotować wybory i tośmy nie raz czynili, choć nam groziły administracyjne szykany, więzienia i pacyfikacje. Ale dla tych, co trzymali naród „za mordę”, co znaczył bojkot narodu, póki mieli władzę i siłę zbrojną? Póki tym „mianowancom” tytuł rządzcili dawali ich panowie z Hitlerii, Anglii i Ameryki.

A jak im tytuł odebrali w 1939 roku przez najazd na Polskę, uciekli drogą na Zaleszczyki, aby znów im służyć, kiedy naród będzie się wyzwalał, kiedy lud — nie daj boże — spróbuje bić się o rządy robotniczo-chłopskie.

Co oni wyrabiali przed wojną nie z tysiącem ludzi, nie ze stu tysiącami a z 30 milionami? Dwa więc były fronty, jeden tych dzierzymordów i drugi — milionów Polaków, front narodu bez prawa wyboru.

Dziś front tych krwiopijców na emigracji liże nogi naszym wrogom — imperialistom. W kraju pozostał, w kraju panuje Front ludu pracującego, Front Narodu, ten co dawniej gnębiony, dziś wolny i w jedności sto razy bardziej pogłębiany, bo za nami już wielka droga nowego życia, a przed nami zamiary i plany Polski potężnej i szczęśliwej.

Do takiej my Polski idziemy. W maleńkiej wiosce Oraczevice naszym Czynem Wyborczym było założenie spółdzielni produkcyjnej. Siewy jesienne wykonaliśmy przed terminem. Zboże odstawiliśmy ponad plan. Sołtys Józef Dybka w 226 proc., Adam Czyż w 190 proc., Stefan Chwałkowski w 172 proc. Tak idą do Wyborów ludzie wolni!

Anna Dybka
Oraczevice, pow. Choszczno

Cześć ci, głowo robotnika!

NIECH będzie pozdrowiony dzień Wyborów Frontu Narodowego! Będziemy głosować w punkcie wyborczym, w tym samym miejscu w Olbierzowicach, gminie Jurkowie (powiat Sandomierz), gdzie przed laty rozdzielano nas w różne strony. Stanał przed kościołem na trybunie poseł endeków i obiecywał drogę do nieba i raj na ziemi. Ale chłopci nie dali się okłamać i ściągali go z trybuny. Wszedł na trybunę działacz, robotnik rolny i... padł strzał a po chwili poczułowała brzyczka. To student z dworu strzelił. Brzyczkę my zatrzymaliśmy, on na plebanie. A tam proboszcz tarasuje wejście i tłumaczy:

— Ludzie posłuchajcie, co wam powiem. Komu wierzyć? Temu cyganowi farnalskiemu? Chłop przeciw Polskę nie może rzucić. Ma nogi i ręce, brzuch i tyłek, ale głowy nie ma do rządów.

Za co to nas miały szlachta, duchowieństwo i kapitaliści. Ale się pokazało wreszcie, że rządzi i potrafi rządzić głowa robotnika, dobrego gospodarza i nauczyciela, Bolesława Bieruta, opiekuna całego narodu. Pokazało się, że przy nim wspólnie potrafią rządzić głowy robotników i chłopów. Bo cośmy już wybudowali, temu wieki całe nie poradziły za pańskich i burżuazyjnych rządów. Pokazało się, że ręce i nogi, brzuch i tyłek tyle tylko mają nasi dawni krwiopijcy. O, mają jeszcze zęby, mają jeszcze płwociny, mają żagiew do podpalań stogu, mają dolary na zdradziecką robotę. Ale my mamy głowę, a w niej czujność! Mamy serce, które kocha to, co zdobyliśmy pod przewodem klasy robotniczej i nie damy sobie wydrzeć z rąk naszego, które jest i które stanie naszymi zbudowane rękami i naszą głową.

Stanisław Bugala
Pokrzywianka — pow. Sandomierz

Z czystym sumieniem

MY chyba do urny wyborczej pójdziemy śpiewając „Szumią jodły na gór szczyty”. Bo odbył się niedawno w naszej Zótkiewce koncert. Przyjechała orkiestra z Filharmonii z Warszawy i artysta opery, Michał Szopski, śpiewał „Szumią jodły na gór szczyty”. To jest pieśń z opery „Halka” Moniuszki. Ludu było tysiąc. Popłakali się chłopcy z zachwyty i ze wspomnień. Oj, dolo nasza dolo, jakaś była jeszcze niedawno. W 1922 roku sam byłem agitator PPS-u. I jakim wziął ciego z ambon! A i tak się na nic nie przydały nasze nadzieje, bo nas na Sejmie w pole wywiedli pepesowcy, basując Piłsudskiemu.

W 1935 r. sołtys rozdał po wsiach numery za sanacją. A kto w lokalu chciał do koperty włożyć inną kartkę, zaraz policja zagłądała i wyrzucała z lokalu, a potem był... komunistą. I choć głosowało 40 proc. ludności — szwindle takie porobili, że im wypadło o 11 głosów więcej, niż było w ogóle ludności.

Ale w 47 roku nasza była już wygrana. Wszyscy szli głosować i to gdzie? Do lokalu po jasnie panu dziedzicu Janiślawskim! Takżeśmy zatwierdzili nowe, planowe życie naszego Narodu. Bo zaraz się zaczął Plan 3-letni, a teraz podciągamy Plan 6-letni.

U nas teraz po suszy letniej, kiedy spadły deszcze, odmłodziły się na polach kartofle i kwiłta. Wykopki mamy więc opóźnione, ale będzie co zbierać. W naszej gminie gromady takie jak Koszarsk, Chłaniewek i Różki dawno już plan skupu wypełnili. Ale i ostatnie, jak Huta, Adamówka i Wierzechowina chcą do wyborów pójść z czystym sumieniem. I pójdą z czystym sumieniem aby robotnicy wiedzieli że razem z nimi chłop polski dzisiaj potrafi budować szczęśliwą przyszłość dla dzieci naszego ludu, dla naszego narodu!

Kazimierz Łukas
Zótkiewka — pow. Krasnostaw

ALBIN BOBRUK

NIE SAMO PRZEZ SIĘ...

W JEDNYM z filmów radzieckich jest scena, w której członek partii podczas rozmowy z dorastającą dziewczyną chce poznać jej sąd o życiu. Mówiąc z nią o codziennych sprawach, dochodzi do wniosku, że bujne i bogate życie kraju przyjmują ją ona inaczej niż on. Mniej pełnie, bez wnikania w przyszłość, jakie zrodziły beztroska i radosna młodość. Chcąc wystrzyść jej spojrzenie wskazuje otwarte okno i pyta —

— Powiedz mi co widzisz w tej chwili?

Dziewczyna długo patrzy przed siebie, potem wzrok swój przenosi na pytającego i z zakłopotaniem odpowiada.

— Nic nie widzę.

— To nieprawda. Widzisz gwiazdy świecące, drogę mleczną — tysiące wielkich i zagadkowych ciał.

— Aaaa. Czy o to wam chodzi, towarzyszu? Przecież to jest zrozumieliśmy samo przez się.

Podobnie sądziła ona o życiu społecznym, kiedy on pamiętał inne życie, z trudem zdobywane jego kęsy.

Zdaje mi się, że tak samo przez się rozumiejącą się rzeczywistością jest dziś u nas uczestniczenie w budownictwie tysięcy fabryk, zakładów, nauka dostępna dla wszystkich, pokój i zamierzenia na przyszłość. I to jest dobrze, to różni ludzi naszych od ludzi żyjących w ustroju kapitalistycznym. W tym kryje się sens dokonywanych w Polsce przemian.

Ale z przytoczonej lekcji płyną dziś dla nas inne także jeszcze wnioski. Ciągłe trzeba przypominać cenę jaką płaćć naród ustrojowi, ponieważ człowiek, kapitalistycznie - obszarncemu państwu i pokazywać zdobywcę, które osiągnął po usunięciu tego ustroju. Wtedy tylko nasze dzisiaj i jutro nasze ukaże się w całym swoim pięknie i sile. Za wcześnie nie jeszcze na wyłączenie zasady: samo przez się. Trzeba dodać do niej pozostające w pamięci lata i opłatę za prawo uczestniczenia w wolnych wyborach, do jakich dziś doszliśmy. Uzupełnić ją trzeba czujnością w stosunku do planów wroga, tego w naszych granicach i nasyłanego w nasze granice. A wówczas jeszcze bardziej porównamy MDM-mem, Nową Hutą, Żeraniem, spokojnym krokiem ludzi na drogach wiejskich i ulicach miast, mocno jak gwiazdami, na które co dzień patrzymy.

Miliony Polaków idzie dziś do urn wyborczych. Każdy z nich niesie częstą naszą historię i swoją własną. Niesie wszystko, co ma najlepsze. Mądrość swoją i miłość do kraju. Z nich powstaje fundament pod przyszłe dni Ojczyzny — Front Narodowy, kamień węgielny pod każdy dom i wiecha na strop. Stąd rość będzie szczęście, które stanie się proste, codzienne i tak naturalne jak rozumiała je owa radziecka dziewczyna.

Albin Bobruk

EDMUND NIZIURSKI

NAJSILNIEJSZE ARGUMENTY

W październiku, zbierając materiał do powieści, odwiedziłem między innymi kopalnię rudy miedzianej w woj. kieleckim. Poznałem wtedy starego górnika z drugiej zmiany Michała Pęczkiewicza. Pierwsze moje z nim spotkanie miało miejsce na dziedzińcu kopalni. Pęczkiewicz, ubrany w nieprzemakalną kurtę z kapturem przetykał mozołnie zakłopotany palnik karbidówki. Stalowy drucik nie mógł trafić do mikroskopijnego otworu.

— Oczy już nie dopisują — podniósł suchą jakby przypłoszoną ręką wapiennym twarzą.

Pomogłem mu przeczyścić palnik i od słowa do słowa rozgadaliśmy się.

Pęczkiewicz urodził się w pobliskiej wsi, Głowatkowie. Ojcowie mieli pięć morgów gruntu — takiego jak wszyscy w tych stronach: piasek i skała. W piętnastym roku życia, kiedy austriacy okupanci niegarni brakami surowcowymi rozbudowali starą kopalnię rudy zaczął pracować na dole. Płacili koronę dziennie. Tyle, ile kosztował bochenek chleba. Po Austriakach zaczął dukać w kopalni dawny jej właściciel, dziedzic Łaszczyński — ale dał spokój. Nie miał pieniędzy na inwestycje, a dla kapitalistów zagranicznych prymitywna kopalnia nie była żadnym „biznesem”. Światowy rynek miedzi opanovały amerykańskie monopole takie jak Brodden Copper. Jakas tam kopalnia w Kieleckiem, nie była im potrzebna. Spotkał ją więc ten sam los co i inne „nieopłacalne kopalnie” — zatopienie.

Pęczkiewicz pozostał bez pracy. Dziedzic przerzucił się do kamieniołomów. Nieliczni „szczęśliwcy” znaleźli tam gorzki chleb. Do tych szczęśliwych należał i młody Pęczkiewicz. Był zdolny. Został wiertaczem. Pracował po dwanaście godzin dziennie. „Oczy zachodziły mgłą — wspomina — najgorzej było latem. Kazałem matce wychodzić co wieczór po mnie, bo już nie miałem siły, aby się dowiec samemu do chaty”.

Zarabiał więcej od innych. 16 złotych na dwa tygodnie. Trzeba było płacić przedsiębiorcy za materiał wybuchowy. Zdarzało się, że mniej zreni górnicy „przestrzelali swój rachunek” i przy wypłacie musieli dopłacić przedsiębiorcy. Wypłaty odbywały się co dwa tygodnie w Kielcach. Przejazd pociągami do Kielc kosztował tyle, ile wynosił dzienny zarobek. Po wypłacie trzeba było fundować majstrom i popić. „Inaczej nie szło”.

W ciągu swego długiego życia Pęczkiewicz nie ruszył się z kamieniołomów dalej niż do Kielc. Poza Kielcami nie widział żadnego miasta. „Kto się domowił o urlop — mógł dostać, ale na wieki wieków. Ludzie bili się o miejsce pracy. Trzeba było roboty trzymać się zębami”. Ożenił się dopiero w 28 roku życia. Rodzicom ciężko się było zdecydować wypuścić z chaty jedynego żywiciela 9 osobowej rodziny.

Dopiero w 1949 roku wszystko zmieniło się w życiu Pęczkiewicza. Kiedy rozszedł się stary, że kopalnia rusza, Pęczkiewicz zgłosił się jeden z pierwszych, bodaj jedyny ze starych górników, który pracował tu przed 30 laty. Bo trzydziści lat czekał górnika Pęczkiewicza na pracę w „swojej kopalni”. On jeden czekał się. Inni nie. Zabrał ich uczucie reumatyzmu i pylica. Pracowali w wodzie, bez gumowych butów, bez maszek. „Dzisiaj inaczej... odzież nieprzemakalna, buty gumowe — i bezpieczeństwo, człowiek w cenie poszedł”.

Od 1949 roku Pęczkiewicz nie opuścił ani jednej szczyty. Jako doświadczony praktyk — fachowiec pracował przy budowie nowego szybu sztolni i prochuwni w najtrudniejszych warunkach (kurzawa) wymagających ostrożnego i umiejętnego strzelania. „Dzisiaj zarobię przez szczytę nie na jeden bochenek chleba — ale chyba na piętnaście” — śmieje się.

Wkrótce Pęczkiewicz pojedzie na wczasy. Pomyślny. Po raz pierwszy w życiu naprawdę odpocznie. W najpiękniejszym zakątku Polski, otoczony opieką i szacunkiem.

„Najwięcej to cieszę się z moich dzieci, a mam ich siedmioro — zwierza się — Najstarsze już pracują na kopalni. Swoją chleb jedzą. Młodsze chodzą do szkół. Najmłodsze uczy się dopiero mówić, ma dwa lata. Jak się urodziło, ludzie na wsi się śmiali, że na starość — dziecko, ale ja panie, mocno się jeszcze czuję, a zresztą dzisiaj nie strach. Gadat pan z tym młodym Kalinowskim — górnicy syn — 20 lat ma a już technik... Mnie to panie, jedno tylko gryzie... że nieuczony jestem. Do szkoły niestety nie chodzę. Gdybym w piśmie był uprawnym tobym dzisiaj więcej się przydał... a tak ciemny człowiek, panie... tylko ta pojecha, że dzieci już inaczej...”

Stary ma rację. Inaczej ukształtowały się dziś losy młodego pokolenia górniczego. No, choćby ów technik Kalinowski. Ojciec jego za młodu w „krzyżowych latach” szukał chleba w kopalniach Francji i Belgii. W 1930 roku urodził do kraju z jednym doświadczeniem, że górnikiem zawsze wiatr w oczy... Udało się mu uzyskać pracę w kopalni w Czeladzi. W 1937 roku został zredukowany i znalazł pracę dopiero w kamieniołomach pod Pińczowem.

Po tych doświadczeniach zabronił synowi pracy w górnictwie. Ale chłopak szybciej od ojca pojął zmiany, jakie zaszyły w losie górnika. Kopalnia ciągnęła. Młody Kalinowski uciekł z domu na Śląsk do kopalni. A przed kilkoma miesiącami skończył technikum w Zabrze.

Takie są losy starego i młodego pokolenia.

Mnie się zdaje, że to najsilniejsze argumenty wyborcze. Nie do odparcia.

Edmund Niziurski

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

GDZIE DŁONIE BIAŁE...

I

Wśród wzgórz lubelskich rzucona perła, w cieniu lip, wiaźów, uroczu legła. Ścieżka pod pałac stromo prowadzi, słońce na liściach swą pieczęć kładzie, mówią historii kamienne ślady, wpisane szramą na murach bladych. Tu echo kroków Małachowskiego, marszałka sejmu czteroletniego. Ptaki ćwierkają mową tą samą, gnieżdząc się ponad parkową bramą. Kiedyś tu z nimi rozmawiał wierszem poeta, tuląc słońce do piersi.

Autora „Lalki” kroki powolne, w obłoczkach kurzu na dróże polnej. Krople się perła i w pianie błędną, widział Prus tutaj „lalkę” niejedną, kiedy cień wiaźów, lip i kasztanów, osłaniał wczasy próżniacze panów.

II

W domku na wzgórzu autor „Przedwiośnia” w śladach pamiętek drobnych pozostał, w przeźrocach okien blask się gromadził, by krzywym szablę pochwy wyglądać. Widać stąd teraz Polskę szeroką, dla której w przyszłość otwarty okno ręce górników, chłopów, murarzy — kraju dumny ze swych gospodarzy.

HELENA ZAWORSKA

„MINAŁ I NIE WRÓCI NIGDY WRZESIEŃ 1939 R.”

WRZESIEŃ” Jerzego Putramenta jest właściwie pierwszą próbą ukazania szerokiego, wyczerpującego obrazu dnia, w których rozpoczęła się druga wojna światowa, pierwszym spojrzeniem na ten okres z marksistowskiej partyjnej postawy ideowej, pierwszym ujęciem o ambicjach całościowego ogarnięcia podstawowych zagadnień i konfliktów tamtych wypadków. Stąd duże polityczne znaczenie tej książki, ukazującej klasowe korzenie klęski narodu zdradzonego przez sanację. Stąd jej mocna pozycja w naszej literaturze jako książki dającej realistyczny obraz dnia z historycznych faktów, napisanej z wielkim talentem, z wielką pasją demaskatorską w stosunku do sanacyjnych inspiratorów wrześnieiwej klęski, z wielką miłością dla ludu, bohatersko walczącego z niemieckim faszyzmem.

To, co w powieści Putramenta uderza najbardziej, co charakteryzuje jej ton, co sprawia, że książkę tę czyta się z wielkim wzruszeniem oraz poczuciem, że daje ona istotne świadectwo owego okresu jest właśnie ów piękny obraz bohaterstwa i patriotyzmu narodu. Naród jest właściwym, głównym bohaterem książki. Przerzućmy kartki powieści. Strony, na których zatrzymujemy się najdłużej, sceny, które wzruszają nas najbardziej, obrazy, które najdłużej pozostaną w pamięci to takie, jak wstrząsający opis ataku niemieckiej czołgów pancernych na bezbrodne wobec niej, oddziały polskie, jak scena rozbicia niemieckiego czołgu przez cudownie uzdrowionego wysiłkiem woli robotniczą Ignacego Krawczyka, jak bohaterska śmierć komunisty Walczaka, który po latach siedzenia w sanacyjnych więzieniach wyszedł na wolność po to, by bez wahania oddać swoje życie w walce z faszyzmem. Patriotyzm narodu, jego zdradzona wola obrony, jego zjednoczenie się na płaszczyźnie walki z faszyzmem, oto znaczące się już we wrześnieiwej książce kierunki rozwoju tych procesów społecznych, które w latach drugiej wojny światowej przyniosły wielkie dążności emancypacyjne mas ludowych jednoczących się i hartujących we wspólnym froncie walki z okupantem. Putrament potrafił ukazać istotny sens historyczny wypadków z 1939 roku. Na zdradę interesów kraju przez sanacyjnych klasowych kierowców odpowiedział naród bohaterską walką. Próba wojny wyzwała prawdziwą wartość patriotyzmu. Ci, którym burżuazja go odmawiała, którzy latami siedzieli po więzieniach jako „wrogowie narodu” — komuniści, uwolnieni

przez wojnę szli w pierwszym szeregu walczących z faszyzmem.

Doświadczenia wojenne demaskują młot sanacyjnego „prawie mocarstwa”, otwierają oczy ludziom dawniej ślepiem politycznie, ujawniają w formie bardziej oczywistej konfliktów, które niedostrzegalne były dla ograniczonej ostrości ich politycznego widzenia. Rośnie uświadomienie polityczne i klasowe mas. Stary robotniczy, Ignacy Krawczyk, uczestnik strajków, po raz pierwszy uświadamia sobie jasno iż popełnił błąd nie należąc do partii, rezygnując z bezpośredniej, aktywnej walki o ustrój, który wykluczyłby wrześnieiwoją klęskę. Porucznik Markiewicz, któremu nauczycielska bieda w Krasnem stepie zainteresowania życiowe, a sanacyjna propaganda bez jego osobistego wysiłku rozwiązała zagadnienia społeczne i polityczne, po raz pierwszy rozumie bezdurność i dętość oszukańczych frazeologów, zobaczył w bezpośrednim doświadczeniu ostrość konfliktów klasowych i wrześniei, w rozpaczliwej rozterce do komunistów zwrócił się po ratunek dla kraju. Anna Zaleska, gdy powróciła z bezsensownej ucieczki pod gradem niemieckich bomb, nie rozpoczęła zapewne znów dawnego życia, wyjąłowiłonego niemal zupełnie ze społecznych treści. Każdy z tych ludzi zależnie od jego postawy oraz sumy doświadczeń społecznych, przechodzi na wyższy etap świadomości politycznej i klasowej. Na żywych, bliskim nam i zrozumiałych postaciach ukazuje Putrament wielki fakt dojrzenia politycznego całego narodu w ogniu wrześnieiwojny walk. Szczery patriotyzm był w owych dniach elementem, który wykrywał antagonizm między narodem a klasą panującą. Jednocześnie się narodu we wspólnej walce, to dojrzenie do zrozumienia konfliktów klasowych, to łączenie się z komunistami we wspólnym froncie przeciwko faszyzmowi było najważniejszym, bo wyznaczającym już kierunek przyszłemu rozwojowi zdarzeń, faktem historycznym. Ukazanie tego faktu, przetworzenie go w epicki obraz artystyczny, jest zasadniczą wartością powieści Jerzego Putramenta. Autor potrafił dostrzec źródła bohaterstwa tamtych dni, rozszyfrować klasowe podstawy owego patosu beznadziejnej lecz wytrwałej obrony, podjętej przez cały naród wbrew militarnej przewadze faszyzmu, wbrew „ciąglemu i zgrubnemu pehaniu ukochanj ojczyzny do katastrofy” przez sanacyjną klikę, wbrew zupełnemu nieprzygotowaniu kraju oszukańczo wykorzystwanego dla własnych, klasowych celów przez panów ministrów i ge-

Przez pamięć na nieprzebrane cierpienia ludzi, umierających długo i straszliwie w katowniach faszyzmu — jednoczymy się w dniu dzisiejszym, podejmując zobowiązania — każdy w ramach swej pracy i swego zawodu — uczynić wszystko, by groźbę nowej wojny odwrócić.

ZOFIA NAŁKOWSKA

ste rozgrywkę i gierki w walce o zyski, o możliwość korzystniejszego zaprzędania interesów narodu dla własnych korzyści klasowych przez sanacyjnych przywódców, pchających kraj do tragicznej katastrofy. W charakterystyce obozu sanacji autor nie pominął niczego, co od dawnałoby degenerację klasy, która zerwała wszystkie więzy z narodem i przeszła do ofensywy przeciwko niemu. Świadomie osłabiała ona siłę obronną narodu dla „wielkiej kombinacji Becka” — dla sojuszu z Hitlerem przeciwko Związkowi Radzieckiemu i przeciwko ruchowi robotniczemu w kraju. Wobec wznoszącej się fali rewolucyjnej mas, faszyzacja zostaje przyjęta jako najbardziej bezkompromisowa forma walki z rewolucyjnym ruchem. W warunkach rozwiniętego imperializmu światowego, przy jednoczesnym, coraz wyraźniejszym zagrożeniu pozycji klas wyzyskujących przez walczący proletariatus zerwanie tych klas z narodem, z przedaniem niepodległości za cenę zachowania swej uprzedmiotowanej pozycji klasowej jest wyznacznikiem ich polityki. Dla ministra Burdy-Orzełskiego pojęcie narodu równa się pojęciu pionka, który na wielkiej szachownicy kapitalistycznych interesów można przestawiać, tak, by wygrać jak najzyskowniejszą partię. Ten „prawie premier prawie mocarstwa”, oficjalny patron hasła „ani guzika” decyduje się bez wahania na spełnienie wszystkich żądań terytorialnych Wielkiej Rzeszy wzamian za utrzymanie swojego stanowiska.

Demaskacja klas rządzących Polską przedwrześnieiwoją przeprowadzona jest przez Putramenta na wszystkich odcinkach. „Wojskowym” odpowiednikiem Burdy jest członek sztabu głównego, pułkownik Rabcz. Ten zapatrzony w swoją karierę wojskową, niepokojący się przede wszystkim o to, by rozwój wypadków nie rozwiązał jego sławy wspaniałego stratega, tworzy plany, którym w niczym nie odpowiada istota rzeczywistości, wygrywa wszystkie osobiste wpływy i prywatne antagonizmy, drży przed utratą własnej pozycji. A za plecami zarozumiałego balwana czai się zdrada, czai się sprzedajność skaptowanej przez Hitlera „dwójki”.

Zdemaskowania sanacji Putrament nie ograniczył do ukazania jej wrześnieiwojny i klasowej zachłanności zysków. Osadził ich nie tylko jako polityków i dyplomatów. Osadził ich również jako ludzi, wykazał ich nieść moralną, nędzną płaskość ich programu życiowego, płaskość afer, które knuli przez szereg lat. W chwili katastrofy wrześnieiwojny Burda „urządza” do ośniewiającej jaskrawości, jak droga mu jest właśnie ta gładkość doczesnego żywota. Jak błąd w gruncie rzeczy jest w porównaniu z tym wszystko inne. Ambicja, dumna, honory osobiste, grupowe, narodowe. Spoza postawy politykierza, męża stanu, dyplomaty wysuwają się najbardziej płaskie wyznaczniki postępowania i stosunku do świata. Tak i w książce spoza ogranę już oceny „zdrącej narodu” i „rozdmi faszyści” wyglądają twarze konkretnych ludzi, ich cechy charakteru, ich nieść moralna, ich nienawiść do ludzi, miłość do „naoliwionego posłucha”, ich strach przed utratą pozycji „na świeczniku”, komfortowych mieszkach i reprezentacyjnych kochankach.

Na demaskację trybu ich życia oraz postaw moralnej jest jednak niekiedy we „Wrześniei” położony zbyt silny nacisk. W całościowym obrazie książki sceny peryferyjne z ministerialnymi i generalskimi kochankami zajmują proporcjonalnie zbyt dużo miejsca.

Umiejętność jednak ukazania wrześnieiwojny klęski zarówno od strony szerszej interpretowanych faktów historycznych o zasadniczym społecznym i politycznym znaczeniu jak i od strony specyficznej atmosfery, oddanej przez autora wiernie i sugestywnie sprawia, że książka jest żywa, ciekawa od pierwszego do ostatniego strony, a w wielu momentach wstrząsająca. „Wrześniei” jest ważnym politycznym i sugestywnym artystycznie obrazem minionych, niepowtarzalnych już w naszej Ojczyźnie dni klęski, z której naród nasz wyciągnął historyczne konsekwencje.

„Minał i nie wróci już nigdy wrześniei 1939 r. minęła i nie wróci nigdy hańba bezsilności naszego kraju wobec najeźdźców”. (Bolesław Bierut)

Helena Zaworska

ANDRZEJ SKIBA

NARODY ZAPISUJĄ KARTY DZIEJÓW

PRAWIE do końca II wojny światowej Partia, która zdobyła władzę, która zlikwidowała ucisk kapitalistyczny i obszarnczy, niemal w osamotnieniu spełniała rolę awangard ludzkości. Dotąd tylko Związek Radziecki produkuje kraj przodujący idei stanowią „brygadę szturmową” świata.

Na XVIII Zjeździe Partii mówił Stalin — „Jeśli sukcesy klasy robotniczej naszego kraju — jeśli jej walka i zwycięstwo posłużą do tego, by zagrozić duchu klasy robotniczej krajów kapitalistycznych i wzmocnić w niej wiarę we własne zwycięstwo, to partia nasza może powiedzieć, że pracuje nie nadaremnie. Nie ulega wątpliwości, że tak się właśnie stanie”.

Od XVIII Zjazdu upłynęło 13 lat. Dziś na obszarze od Chin i Korei do Czechosłowacji, Polski i NRD rozwinął się front nowych „szturmowych brygad” w postaci krajów ludowo-demokratycznych.

Dziś 600 milionów ludzi buduje socjalizm czerpiąc natchnienie, siłę i przykład z wielkich budowli komunizmu, z uchał XIX Zjazdu — programu walki i programu zwycięstw. Znamieniem zaś odchodzącej historii świata jest dziś to, że wszędzie, gdzie jeszcze rządzą kapitalizm, burżuazja sprzedaje za dolary prawa i niezawisłość narodów, że wyrzuca ją burtę bezapelacyjnie jeden po drugim te same sztandary wolności i suwerenności i braterstwa, sztandary niezawisłości i suwerenności narodowej, które ongiś wniosła, stając na czele zrewoltowanych ludów.

Toteż znamieniem idącej coraz szybciej w przód historii świata jest to, że dziś sztandary wolności, równości i suwerenności narodów podejmują przyszłe „brygady szturmowe” — partie komunistyczne i demokratyczne uciśniętych narodów. I tylko one mogą i podnoszą te sztandary, bo nie ma już poza nimi nikogo, kto mógłby tego dokonać. A wzór, przykład i pomoc Związku Rad oraz wzór, przykład i pomoc nowych „brygad szturmowych” jest im drogowskazem i ułatwieniem w pracy.

Dlatego na XIX Zjeździe mógł Józef Stalin powiedzieć: „Istnieją wszelkie podstawy, by liczyć na sukcesy i zwycięstwo bratnich partii w krajach, w których panuje kapitalizm”. Dlatego też takim optymizmem brzmi potężny odzew wszystkich narodów świata.

*

Mao Tse-tung — Chiny: Każdy krok postępu na świecie wiąże się z nierozdzielnie z istnieniem i rozwojem Związku Radzieckiego. Zwycięstwo rewolucji chińskiej i osiągnięcia trzech lat, jakie upłynęły od powstania Chińskiej Republiki Ludowej, dowodzą, że tam, gdzie — uwzględniając konkretne warunki danego kraju — nauka Marks — Engelsa — Lenina — Stalina jest stosowana właściwie — tam zwycięstwo zawsze jest pewne”.

A. Gopalan — Indie: „Narody świata, a wśród nich Indie, widząc coraz wyraźniej cechy znamienne dwóch przeciwstawnych obozów. W tym roku, roku głodu, Związek Rad i Ludowe Chiny udzieliły nam skutecznej a bezinteresownej pomocy, podczas gdy spekulanci amerykańscy sprzedawali nam zgniłą pszenicę. W Związku Rad i całym obozie demokracji narody widzą przyjaciół, wiernych i bezinteresownych, obrońców wyzwiskiwanych i uciśniętych całego świata. Widzą w rosnącej sile tego obozu gwarancję pokoju, wolności, demokracji i socjalizmu. W obozie imperializmu widzą rosnący kryzys gospodarczy, spadek poziomu życia, bezrobocie, ucisk, reżim policyjny i wojnę”.

Pak Den Aj — Korea: „W walce z najeźdźcą amerykańskim naród nasz nieprzerwanie doznaje braterskiego poparcia ze strony wszystkich miłujących pokój narodów, poparcia które jest wspaniałym przykładem proletariackiego internacionalizmu. Wojna dowiodła, że nie można powalić na kolana narodu, który znalazł wolność, a który wspiera się na braterskiej pomocy obozu demokracji ze Związkiem Radzieckim na czele”.

Luis Carlos Prestes — Brazylia: „Każdy krok Związku Radzieckiego na drodze do komunizmu jest także krokiem naprzód w walce wszystkich narodów o pokój, demokrację i socjalizm. Dla narodu Brazylii Kraj Socjalizm jest nadzieją i życiem”.

Victorio Codovilla — Argentyna: „Wśród narodów Ameryki Łacińskiej wzrasta się nienawiść do imperialistów i rośnie sympatie i miłość do Związku Radzieckiego i innych krajów obozu pokoju. Z dniem każdym stają się coraz bardziej pilne próby agentów imperializmu USA, którzy chcą wmówić naszym narodom, że Ameryka Łacińska dla „względów geograficznych” musi tkwić w orbicie tego imperializmu i służyć jego polityce. Doszło do tego, że w Argentynie, tym śpichrzu świata, obecnie brak pszenicy. Ale narody nasze walczą o chleb, wolność, niezawisłość narodową i pokój, i zadając tym cioci imperializmowi Stanów Zjedn. przekonywają się, że jest to kolos na glinianych nogach”.

F. Bolanos — Wenezuela: „Ani kropli wenezuelskiej ropy dla agresywnej wojny imperialistycznej! — oto hasło naszego ruchu demokratycznego”.

E. Roca — Kuba: „Nauka Lenina — Stalina i doświadczenie partii bolszewickiej nauczy nas lepiej kiero-

wać walką klasy robotniczej, chłopstwa i całego ludu pracującego, walką całego narodu Kuby o zadośćuczynienie jego żądaniami, o zachowanie pokoju, o pełną niezawisłość narodową, rozkwit i postęp naszego kraju”.

Larbi Buchali — Alger: „Naród Algieru coraz lepiej rozumie, że Wielka Rewolucja Październikowa nie tylko zlikwidowała wyzysk człowieka przez człowieka, ale i ucisk narodu przez naród. Przykład Turkmieni i użyczenia pustyni jest dla nas szczególnie wymowny. Imperialiści chcą przeciąć nasz kontakt z braćmi radzieckimi. Ale doświadczenie historii wskazuje, że nie można powstrzymać szerzenia się prawdy”.

Lawrence Sharkey — Australia: „Wobec osiągnięć rolnictwa radzieckiego ostry kontrast stanowi gospodarka Australii. Rabunkowa eksploatacja ziemi, powódzie i susze, z którymi się nie walczą, powodują ruinę farmerów i dziś ludność naszego kontynentu nie ma zapewnionej dostatecznej ilości żywności, panuje chaos powszechny i bezrobocie. Taką jest treść kapitalizmu. Szczerzyliścieście mając stalinowski plan przeobrażenia przyrody. Plan ten wskazuje nam jak w przyszłości przeobrazić kontynent Australii”.

Leslie Morris — Kanada: „Uczynimy wszystko, aby przybliżyć nadzieje dnia, kiedy ludzie pracy, mężczyźni i kobiety, farmerzy i inteligenci Kanady, zbiorą się na zjeździe

takim jak wasz po to, aby przekształcić nasz piękny i bogaty kraj w wolny i szczęśliwy kraj spokojnej pracy i bezklasowego społeczeństwa, kraj obfitości dla każdego — mężczyzny, kobiety i dziecka”.

William Foster — Stany Zjednoczone: „Za mezną walkę o pokój 80 przywódców naszej partii przebywa w więzieniach. Ale szerokie masy narodu amerykańskiego pragną pokój. I wiemy, że narody świata mogą zapobiec przygotowanej przez imperialistów USA nowej wojnie światowej i uczynią wszystko dla tego wielkiego celu”.

Harry Pollitt — W. Brytania: „W naszym kraju rządzi najstarsza, najbardziej doświadczona i najbardziej przebiegła klasa panująca w świecie, nasz kraj ma najbardziej doświadczonych i czynnych prawicowych przywódców socjal-demokratycznych.

Tuż po II wojnie światowej W. Brytania została sprzedana Ameryce. Naród, który szczylił się niegdyś tym, iż rządzi światem, dziś nie może bez zgody amerykańskich dyktatorów powziąć żadnej samodzielnej decyzji. Jednakże kontrast między poglądami mającymi się kryżem gospodarczym i pogarszającymi się stale warunkami bytu angielskich mas pracujących, a tryumfalnym marszem narodu radzieckiego do komunizmu, staje się z dniem każdym bardziej rażący. Następują głębokie zmiany w poglądach i postępowaniu ludzi pracy, następuje ich przebudzenie”.

Maurice Thorez — Francja: „Związek Radziecki jest wspaniałym wzorem dla francuskiej klasy robotniczej, która dąży do pełnego wyzwolenia, do obalenia wyzysku człowieka przez człowieka, do socjalizmu”.

Wilhelm Pieck — NRD: „Niemcy pragną pokojowego życia w swojej zjednoczonej ojczyźnie i nie ma takiej siły, która mogłaby odmówić 70-milionowemu narodowi jego niezruszonego prawa do bytu narodowego. Drogowskazem działania w naszej walce są słowa towarzysza Stalina wypowiedziane przed 3 laty, kiedy powstała Niemiecka Republika Demokratyczna: „...Zakładając podwaliny zjednoczonych, demokratycznych i miłujących pokój Niemiec dokonujemy zarazem dla całej Europy wielkiego dzieła, zapewniając jej trwały pokój”.

*

Nam, idącym do urny wyborczej towarzyszą myśli i uczucia wszystkich brygad szturmowych postępu i rozkwitu narodów, szumią na całym świecie wokół nas rozwinięte na nowo sztandary wolności, równości, braterstwa.

Taka bowiem jest wola, taki nakaz historii, która niegdyś tworzyła jednostki i grupy wybrańców, a która dziś powołuje do zapisywania kart dziejów cały naród — świadomy swego dostojństwa, swojej roli, swej odpowiedzialności.

Andrzej Skiba

Spolszczyła: IRENA TUWIM

PODPALACZOM ŚWIATA

Pod nogami chwiała się ziemia,
Z orbit zeszły gwiazdy i planety,
Były czasy, gdy świat w bólu oniemiał,
Gdy mu serce ciężło bagnetą.

Wtedy naród indyjski zrozumiał,
Ze o pokój walczyć mu trzeba.
Czy słyszycie?

Głodujących tłumów
Gniew uderza do samego nieba.

My żądamy — a nie prosimy,
By w Korei skończył rzeź nareszcie.
Nie błażalnie, ale groźnie wnosimy
Ręce nasze zaciśnięte w pięście.

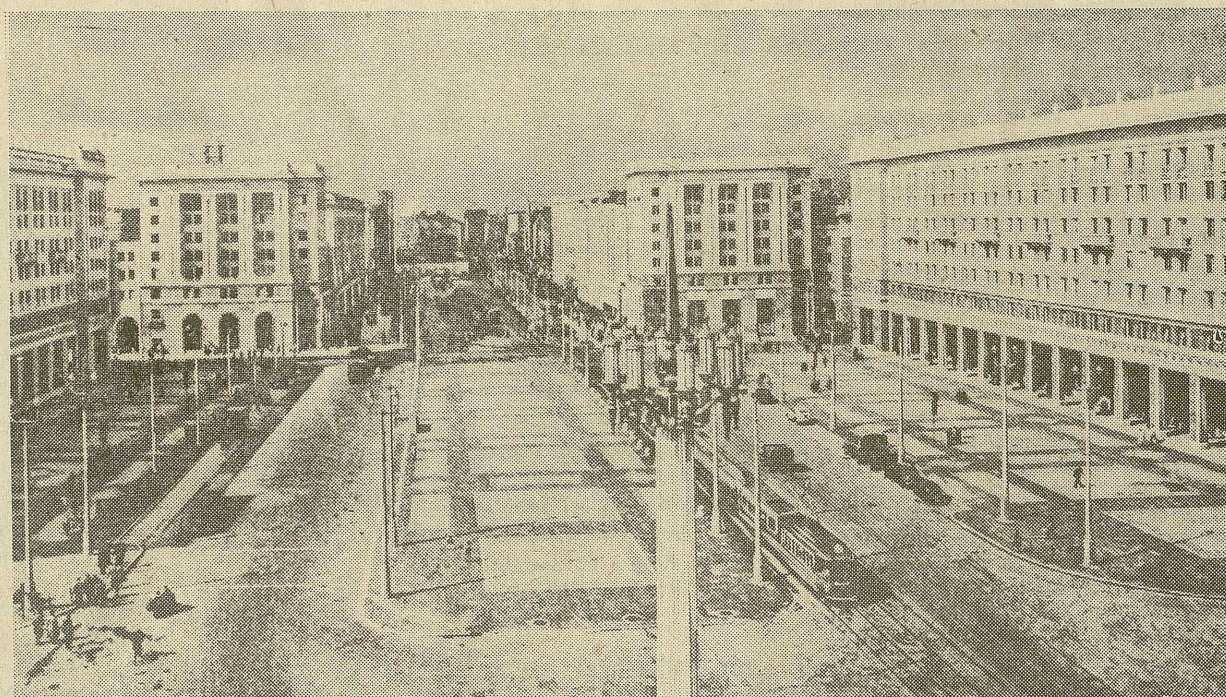
Nie prosimy o pokój: żądamy!
Nie jesteśmy dziś tłumem nędzarzy.
Naszych pól, naszych siól nie damy,
By się stały spopieliałym cmentarzem.

I nie damy dzieciom ginąć z głodu —
Chytrej szorze zamorskich sług
Otumaniać opowieścią narodu
O „niesprzeciwianiu się złu”.

Za ochłapy nie będziemy dostarczać
...Armatniego mięsa moznym panom.
Na Ameryki rynkach frymarczą
Wolnością Pakistanu.

Nie spopieli świata wojny pożar.
Inny widzi świat naród indyjski,
Gdy mu świeci promienista zorza
Związku Rad i Republiki Chińskiej.

Nam przyświeca ludzkiej wiedzy słońce,
Sztuki, nauk, każdej myśli nowoj:
Nie ma życia w gazach trujących,
Nie ma kwiatów w bombie atomowej...



WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

PIEŚŃ PRZEDWYBORCZA

I.

Przeciwstawimy świat pożarowi
My — Polski i ludów nadzieja —
Nasze wybory to — ludzie nowi:
Włóknarz, inżynier, kolejarz!

Którzyśmy znali ciemność samotną,
Idziemy, z nami — oświata;
Nasze wybory — walka z ciemnotą,
Jedność człowieka i światła!

Był dom samotny — nie mój i nie wasz
I pieśń samotna jak chmura...
Pieśń, nie samotna, poeta śpiewa,
Dla ludzi buduje murarz!

II.

Gdy budził się polny dzwonek
I ze snu wstawały drzewa,
W tej wiosce tylko skowronek
Wesołe pieśnią śpiewał.

Ptaku świtu i rosy,
Ptaku trawy i tęczy!
Niech chłopski śpiew radosny
Przy twoim śpiewie dzwięczy!

Dola była jak kamień
Rzucony w głuchą wodę,
Dola będzie jak promień
W pogodę!

III.

Młoda włóknarka otwiera okno:
Pod deszczem dymy fabryczne mokną,
Lecz żłobek z dzieckiem jest blisko.

Nasze wybory — pokój tym dymom,
Które nad Łodzią wiją się, plyną,
Pokój kołyskom!

Oto Mickiewicz, jak z emigracji
Wraca z bibliotek do ludzi pracy,
Na księgach położył rękę.

Nasze wybory — pokój tym księgom,
Co tak głęboko pod strzechy sięgną,
Ze będzie pięknie!

Front Narodowy to młot i pióro,
To cyrkiel z pieśnią czystą i górną,
To — kochać, tworzyć i myśleć.

To — zabarwione murarskim świtem
Nowe, warszawskie domy, odbite
W prastarej Wiśle.

GEORGE BIDWELL

RAZEM Z WAMI

PROSTE zestawienie paru faktów wyjaśni od razu, dlaczego z radością i dumą witam — pierwszą dla mnie jako obywatela polskiego — sposobność oddania głosu. Oddania głosu na program Frontu Narodowego.

Gdy dobiegała końca moja służba w Armii Brytyjskiej po Drugiej Wojnie Światowej, rozstałem się z moim dowództwem oficerem list okólny, w którym wyraziłem pogląd, że oddaję głównym obowiązkiem i odpowiedzialnością każdego z nas jest sprawa zachowania pokoju. „Narody świata — pisałem — muszą postanowić, czy dzieci ich mają być na zawsze zabezpieczone przed wciągnięciem w odmęt wojny”.

Przybyłem do Polski w styczniu 1946, obejmując z ramienia Rządu Brytyjskiego posterunek dający mi, jak sądziłem podówczas, możliwość pracy na rzecz pokoju. Stopniowo, na przestrzeni z górą trzech lat, uświadamiałem sobie coraz bardziej, że brytyjska polityka zagraniczna służyła podporządkowaniu polityce Waszyngtonu, nie jest polityką pokoju, lecz przeciwnie. Stałem wobec osobistego konfliktu. To, czego ode mnie wymagano, nie było pracą dla mego rodzinnego kraju, ani też dla kraju, w którym żyłem i działałem. Rozwiązałem ten konflikt w jedyny możliwy sposób — rezygnując ze stanowiska, prosząc Rząd Polski o przywilej obywatelstwa polskiego. Wyjaśniałem tym rodakom brytyjskim:

„Przekonałem się, iż Rząd Polski, popierany przez naród, pragnie pokoju, potrzebuje pokoju i walczy o pokój. Tylko w warunkach pokoju Polska może być odbudowana, rozwinąć swą kulturę, swą naukę i gospodarkę i wyrównać ogrom straszliwych zniszczeń wyrządzonych przez okupację”.

Od tego czasu zwiedziłem jako pisarz wiele dzielnic Polski, widziałem naród polski i Rząd w codziennym działaniu. Rostała moja wdzięczność, że było mi danym — jak mówiłem w chwili przynajmniej mi obywatelstwa polskiego — „złazić mój los z takim kierunkiem życia, takim zdecydowaniem w walce o realizację celów, takim oddaniem sprawie pokoju i tak wyjątkowym planowaniem rozkwitu i dobrobytu ludzi pracy, jakie znalazłem w odrodzonej Polsce”.

Program Wyborczy Frontu Narodowego wytyczał w sposób dla mnie oczywisty właściwą drogę wiodącą do celów, o których myślałem. Urzeczywistnienie Planu Sześciolatniego i wspaniała perspektywa następnego Planu Pięciu Lat — to kroki milowe w dążeniu do zapewnienia wysokiego poziomu życia narodowi oraz do utrwalenia pokoju. Pokoju dla ziemi, gdzie się urodziłem, pokoju dla mej przybranej ojczyzny, pokoju dla całego świata. Głosowanie na rzecz Frontu Narodowego jest dla mnie szczytnym obowiązkiem człowieka, który pragnie przyczynić się do tych osiągnięć...

George Bidwell

KAZIMIERZ BRANDYS

DLACZEGO?

DLACZEGO głosuję na kandydatów Frontu Narodowego? Równie dobrze mógłbym sobie zadać pytanie: dlaczego jestem patriotą? dlaczego kocham swoją ojczyznę? dlaczego popieram odbudowę Warszawy?

Odpowiedzi na te pytania i na wiele innych, równie ważnych, są zarazem i proste, i trudne do wyrażenia, a przede wszystkim — głęboko spoczywają w każdym ludzkim sercu. Program Frontu Narodowego skupia je wszystkie — ze sobą, wiąże je mocno we wspólną, jasną odpowiedź: dobro narodu jest dobrem każdego obywatela, jest pełną mobilizacją wszystkich dla wszystkich.

Front Narodowy nie powstał dla sprawy wyborów. Istniał już długo przedtem i od dawna nie tylko wyrażał, ale i spełniał swój program. Najofiarniejsze wysiłki naszych ludzi — to Front Narodowy. Mironów, Muranów i Młynów, i Mariensztat, i MDM — to Front Narodowy. Najlepsze książki, poezje, powieści i dramaty, najlepsze rzeźby i obrazy, najwspanialsze projekty architektoniczne, odkrycia naukowe, nowowynalezione lekarstwa i udoskonalenia techniczne — to dzieła i wysiłki ludzi Frontu Narodowego.

Wyjdź na ulicę warszawską, rozejrzyj się po kilku krokach — a zobaczysz program Frontu Narodowego. Setki światła w oknach nowych bloków, tysiące metrów sukna na wystawach, dzieci uracające ze szkoły, dzieła klasyków drukowane w setkach tysięcy egzemplarzy — wszystko czeka na Twoją odpowiedź: jesteś za tym, czy jesteś temu przeciwny? chcesz rozwoju polskiego przemysłu i polskiej kultury, czy nie zależy ci na tym? chcesz korzystać ze wspólnych osiągnięć, czy też Twój los i przyszłość Twoich dzieci są Ci obojętne? Jednym słowem: Obywatelu Polski Ludowej, czy dajesz swój głos sprawie Frontu Narodowego — sprawie Ojczyzny?

Jako Polak, mieszkaniec Stolicy, która z dnia na dzień pięknieje w moich oczach, jako pisarz Polski Ludowej i jej prosty obywatel, odpowiadam dziś bez wahania i z najgłębszym przekonaniem: TAK.

Kazimierz Brandys

JÓZEF POGAN

JAK TO BYŁO...

JUZ po raz trzeci idę w swoim życiu do urny wyborczej, chociaż według lat winienem głosować już po raz szósty, tzn. cztery razy w Polsce sanacyjnej i drugi raz w Polsce Ludowej. Lecz przed wojną głosowałem tylko jeden raz w r. 1928 na socjalistyczną dwójkę. Już wtedy interesowałem się co nieco polityką, prowadząc w swojej wsi przedwyborczą propagandę. Było nas wówczas czterech miejscowych agitatorów: Lorenc i Kowalik, zwolennicy Stapińskiego, oraz murarz Kubera i ja (najmłodszy z tej czwórki) zwolennicy socjalistów. I aż dziw bierze mnie dzisiaj, ileśmy to wtedy prowadzili między sobą niepotrzebnych utarek. W każdy dzień wieczorami, a w niedzielę po całych dniach agitowaliśmy co sił. Ja z Kubera na dwójkę, Lorenc z Kowalikiem na czternastkę. Wynik naszej pracy był taki, żeśmy się tylko narzili na bezustanne drwiny i prześmieszki ze strony niektórych chłopów. Bo gdy Kubera wyrzucili z pracy, a mnie i Kowalikowi sekwestratorzy zabierali ostatnią kożę za podatki — sąsiedzi wtedy z gębami na nas: — „Miał wam być dobrze, boście na dwójkę i na czternastkę głosowali... Kąz macie też dobrze, he?” Jeden tylko Lorenc wyszedł z tej akcji zwycięsko, a to dlatego, że miał 14 morgów ziemi i w dodatku warsztat szewski, więc ja z Kowalikiem odrabialiśmy mu kontrybucję za przegrane wybory. Jemu „klapała” czternastka, ale nie nam. Od tego czasu wyrzekłem się głosowania, tak, że nawet w ostatnich przed wojną wyborach na Centrolew nie głosowałem.

Tak samo sparzył się mój ojciec na głosowaniu w r. 1919. Wtedy to proboszcz Boratyński Zygmunt przy pomocy 140 morgowego, kuliaka Żurowskiego z Łaz prowadził zacięty bój wyborczy z nauczycielem Ochwałskim Feliksem. Ksiądz agitował na endeczką ósemkę, nauczyciel na socjalistyczną dwójkę. Organista Jankowski (który jeszcze dziś walczy z postępowymi działaczami) dom w dom roznosił „zabawienne” ósemki i nakazywał wrzucać je do urny. Kontrolą nad „uczynym” głosowaniem była spowiedź, a kara — bezwarunkowe odmówienie rozgrzeszenia. W ten to sposób endeccka ósemka wzięła górę nad socjalistyczną dwójką. Do sejmu został wybrany wnuk księdza Jagodzkiego, bogaty chłop z Suloszewej, Józef Ostachowski. Ożenił się zaraz u kuliaka-młynarza Brandysa i „stał się wielkim panem”. Wyborcy byli dlań pospółstwem, najpodlejszym chamstwem. Również rodzina Brandysa i dwoje innych dzieci księcia Jagodzkiego urosły jeszcze wyżej. Ludność okolicznych wsi aż płała na to, każdy bowiem wiedział, jakiego to majątku dorobił się na parafianach ksiądz Jagodziński (140 morgów wraz z zabudowaniami dla syna Półtoraka Leona i tyleż w gotówce dla dwu córek) a teraz taka pogarda potomstwa za dawną krzywdę chłopów i za obecny mandat poselski.

Wspominam o tych sprawach, bo nie można o nich w przedwyborczym okresie zapomnieć... ciska się na myśl jak przeżyte koszmarnie sny... Potomek księdza, endek Ostachowski, sprzedajny Stapiński, Rączkowski i inni, a przeciw nim obecni kandydaci do Sejmu — to dwa przeciwstawne sobie obozy ludzi. Przeglądam obecną listę kandydatów i serce bije mi radością. Widzę nazwiska dziesiątek osobliwie dobrze znanych mi ludzi. Widzę przeszło stu rzemieślników, współpracowników chłopów ze wsi i tyluż rdzennych robotników. A i tacy jak Gustaw Morcinek, gen. Aleksander Zawadzki, Władysław Kowalski, Stanisław Janusz i wielu, wielu innych — to moi współtowarzysze czarnej, chłopsko-robotniczej doli.

Józef Pogan

PIOTR DONIEC

Działo się to w Racławicach

HISTORIA, którą chcę opowiedzieć, historia wielkiego oszustwa, a mojej strasznej krzywdy i walki, znana jest w całej racławickiej gminie. Opowiadałem ją setki razy i każde najmniejsze zdarzenie tak wryło się w moją pamięć, że chcąc mnie w nocy zbudzić, słowo za słowem po kolei powtórzę. I choć za każdym razem serce się kraje na wspomnienie tej męki i lamętów mych, 9-cioro dzieci, dzisiaj postanowiłem jeszcze raz opisać ją szczegółowo. Chcę, aby w tej wielkiej chwili, gdy wybieramy do Sejmu Polskiego naszych, chłopskich i robotniczych przedstawicieli, dotarła ona do każdego zakątka kraju — młodym na świadectwo, a starym na przypomnienie, w jakiej okrutnej poniewierce trzymano dawniej chłopów i jakich to miało miłościwych obrońców w rządzie sanacyjnym i tych posłań, co ich niby wybierał na swoich rzeczników.

Otóż i moja historia:

*

Zaczęła się ona w roku 1926. Byłem wówczas dorobiaszem, urodzonym na gospodarstwie sędmiomorgowym, a ziemię tę szczerze miłuję i zrosiłem z nią jestem aż do grobu. Zal było dzielić te parę morgów jeszcze na mniejsze działki, postanowiłem więc w owym roku braci posłać i pożyczę 2.000 zł od spekulanta miejscowych. Żądał procentu miesięcznego 7 od stu, a wynosiło to 280 zł na miesiąc i ani grosza opuścić nie chcieli. Co było robić, pożyczkę przyjąłem, a że ceny zboża były jeszcze dość wysokie, więc zaciągnąwszy pasę, pakowałem co miesiąc te bajcowskie sumy do żarłocznych kieszeni. Ale i to miało swoje granice, bo zaczęły już kartęle swą podłą robotę i ceny produktów rolnych poczęły spadać na zbity łeb. Pšenica spadała wtedy od razu z 50 zł na 25. Myślałem, że 3-4 miesiące i nie wytrzymam — trzeba było szukać jakiegoś wyjścia.

Od mojej wsi z górą 8 kilometrów, w miasteczku Działoszyce, znajdował się bank udziałowy, dyrektorem był w nim niejaki Młynarski. Do niego to udałem się, by pomógł w mojej niedoli. Dyrektor uznał się nad moim losem i zaproponował pożyczkę z banku — 2.000 zł na 3 proc. rocznie. Obliczyłem, że rocznej różnicy procentów będzie ok. 1.620 zł. Więc wyobraziłem sobie, jakiemś się wtedy ucieczę i pomyślałem, że łóg jednak jest sprawiedliwy, a drugi po Bogu dyrektor Młynarski, którego dobry rząd polski postawił na stanowisku, by bronił chłopów mało-rolnego.

Ale gdy się już zbierałem do wyjścia, wyszła już pierwsza trudność. Okazało się, że nie jestem członkiem banku i muszę wpierw wpłacić 200 zł udziału. Pociemniało mi w oczach, bo to znaczyło dla mnie sprzedać ostatnią krowę, a dzieci małych miałem wtedy 6-8. Trudno, zdecydowałem się jeszcze i na to, byleby w jakiś sposób pozyskać te 200 zł na 3 proc. rocznie.

Podziękowałem więc pięknie dyrektorowi, a następnego dnia rano, gdy żona wydołała po raz ostatnią krowę — żywicielkę, wyprowadziłem wśród płaczu dzieci z zagrody, sprzedałem handlarzowi i z pięknymi pedem lecie do banku. Aż tu! nowa trudność — trzeba było złożyć weksle, podpisane przez 2-3 chłanów zamożnych obywateli. Jakby mnie ktoś obuchem trzasnął przez głowę! Skąd ja biedak znajdę poręczycieli bogatych chłopów, kto poręczy za takiego jak ja, który nie ma nic prócz 7 morgów i 6-8 dzieci? Błagam więc dyrektora, aby mi pomógł — a że spirytus lubił i widział u mnie 100 zł pozostałe po krowie — obiecał wynaleźć dwóch miejscowych żyrantów.

Przepliśmy więc w czwórkę — dyrektor, 2-3 poręczycieli i ja — moje ostatnie 100 zł, żyranci podpisali, dyrektor weksle pobrał i wydał w zamian małą karteczkę z terminem płatności za 7 dni, ja zaś pijanusiutki powlokłem się z powrotem do domu.

Te 7 dni, które dzieliły mnie od pobrania pieniędzy, widziały mi się całym rokiem. Nie mogłem doczekać tej błogiej chwili, która zakończyła mą mękę. Pobiegłem do banku już o dzień wcześniej, aby tylko nie spóźnić. Przespałem pod szopą we wiorach, a noc wtedy, pamiętam, była już dość mroźna. Rano wstałem zmarnięty cały we wiorach, wyczekując przepisanej godziny. Wreszcie o godz. 9-tej przybył dyrektor, dobrze wyspany, w szerokim płaszczu amerykańskim, ręce jego białe ze złotym pierścieniem na palcu. Zasiadł w fotelu i przez 15 minut do nikogo się słowem nie odezwał — a ja przed nim stoję z moją karteczką w ręku. Nareszcie pyta, co mnie do niego przyniosło, przedko zapomniał. Jak przepliśmy temce 100 złotych. Przypomniałem mu, że dzisiaj miałem zgłosić się po pożyczkę. Prawda — mówi — wyjechało mi z głowy, ale wasze weksle jeszcze leżą w Warszawie, w banku centralnym, trzeba cze-

kać cierpliwie aż przyjdzie gotówka.

Czekałem tak cierpliwie miesiąc, później drugi miesiąc i trzeci — aż zacząłem coraz częściej przechodzić do banku i coraz niecierpliwiej dopominać się o należną pożyczkę.

Dyrektor wtedy wziął się na taki sposób:

Któregoś dnia przetrzymał mnie do późnego wieczora, a kiedy wyspuścił bocznymi drzwiami, opadły mnie zaraz spuszczone z łańcucha 4 wilczury.

Postanowiłem dzień w dzień, pogoda czy słota, wędrować do Działoszyce 8 km i wołać na cały głos do dyrektorskich okien: oddaj, złodzieju, weksle, albo pieniądze. Drugiego dnia dyrektor zadzwonił do policji żem wariat. Zabrali mnie na posterunek a rano postawili przed komendantem. Był to syn miejscowego kulaka. Ow komendant wytłumaczył mi dokumentnie — leżał przed nim nabity pistolet — że takim postępowaniem nie doprowadzę do niczego.

Na drugi dzień znów poszedłem pod okno i krzyczę: oddaj złodzieju pieniądze! I byłbym tak przechodził codziennie, nocuując od czasu do czasu w komisariacie, gdyby nie pewien szczęśliwy, wydawało



się wtedy, przypadek. Bo oto, gdy już miał cisnąć w okna kamieniem, wychylił się zamiast dyrektora jakiś obcy i wołał mnie do biura. Aż tu! pewnie jakiś zwierzchnik dyrektora — wysłuchał uważnie całej mojej historii, poczem zalecił wystawić mi pokwitowanie za weksle, z numerem książki, pieczęcią i podpisem dyrektora. Gdy to otrzymałem do ręki, nie posiadałem się z uradowania i tak po 4 miesiącach walki odeszłem z kwitkiem — choć bez pożyczki, lecz z wielką ulgą na sercu, że mnie przecież za weksle nikt ścigać nie będzie.

Urtynęło od tego czasu 9 lat. Ciężkie to były lata, lata krzywdy, męki i głodowania, i coraz częstszych odwiedzin komornika i sekwestrata. Ale opisywać ich tutaj nie będę, zwyczajnie to były wtedy dzieje biednej rodziny chłopskiej. O historii z Młynarskim zdążyłem zapomnieć, wiedziałem się zresztą, że bank ogłosił upadłość i został zlikwidowany. Aż w roku 1935, jak grom z jasnego nieba, spada na mnie wezwanie do sądu — o zapłatę 2.000 zł. + zaległe odsetki. Zachodziłem w głowę, co to być może, dopiero przypomniały mi się weksle, które pobrał ode mnie Młynarski. Odszukałem więc pokwitowanie i śmiało kroczę na rozprawę sądową do Miechowa. Kiedy sędzia wywołał moje nazwisko, wyjąłem moje pokwitowanie, z pieczęcią banku i podpisem dyrektora. Czytał chyba z 15 minut, wreszcie kazał wstać i mówił: Prawda, żeście gotówki nie brali, ale prawo jest takie, że zapłacić musicie, a dopiero potem szukać odszkodowania od członków upadłego banku. I wydał wyrok, aby natychmiast wypłacić — jeden tysiąc posiadaczom z Pińczowa, drugi — posiadaczom z Działoszyce, dawnym urzędnikom owego nieżyjącego banku.

Postanowiłem walczyć do upadłego. Ale jak walczyć? Myślałem sobie, napiszę do samego sejmu.

Jak pomyślałem, tak też i uczyniłem. Wystosowałem wprawdzie zażalenie, prosto do premiera Sławoja Składkowskiego. Opisałem wszystko dokładnie, prosząc o szybką odpowiedź, bo już mnie komornik znowu siedział na karku. Za 2 tygodnie odpowiedź z kancelarii osobistej premiera: pisać, że skarga moja została przychylnie przyjęta przez pana premiera, z którego polecenia przyjdzie do mnie główny rśwident z banku rolnego w Warszawie. Rzeczywiście, po upływie miesiąca przybył wysłannik premiera ze swoim kolegą z Krakowa, sprawę moją badali 2 dni, kazali sprzedać 3 morgi ziemi i dług zapłacić, wsiedli w samochód i odjechali. Taką dano mi pomoc z polecenia łaskawego rządu sanacyjnego, tak się zaopiekował pokrzywdzonym chłopem pan premier Składkowski!

Układałem to zażalenie przez 4 wieczory, a zebrało się tego kilkanaście wielkich arkuszy papieru. Nie tylko o nadużyciach dyrektora Młynarskiego i mej osobistej krzywdzie, ale o całym naszym życiu chłopskim, przytaczając fakty i cyfry. Piszę więc, że chłopcy powoli zamierają z nędzy. Nadmieniam, że zapałkę kroi się na dwie części, a tytoń machorkowy kupuje się w czterech wspólników. Nadmieniam że wieś świeci w kagankach, bo nie ma pieniędzy na naftę. Nadmieniam, że od zewnątrz bieli się stodoły i ploty przydrożne, a od wewnątrz wszy ludzi zjadają, gdyż brak grosza na mydło. Piszę, że pocóśmy wybierali do sejmu, jeśli ci wybrańcy nie zainteresują się naszym losem. Piszę dalej, że ci wybrańcy posłowie może nie wiedzą, jakich u chłopów dokonuje się egzekucji, więc niech się dowiedzą, że dopiero co poborca podatkowy wyrzucił z poduszki moje 2-miesięczne dziecko, i to nie za podatek a za swoje koszta egzekucyjne. Niech się dowiedzą, że bywają częste wypadki, gdy rolnik nie posiada nic więcej prócz kosa, a i o nią dochodzą komornik i sekwestrator, który ma większe prawo ją zabrać. A na koniec zapraszam: niechaj do mnie przyjdzie pan poseł lub jakiś wysoki urzędnik z Warszawy, niechaj przez 2 miesiące jada to samo co ja, w to się ubiera co ja i razem ze mną się wysypia — i jeśli przetrwa te 2 miesiące, cała gospodarkę bez jakiegokolwiek prawowania oddaję za darmo.

Kiedy to wszystko opisałem, dałem pod dyskusję na zebraniu Stronnictwa Ludowego, a że wszystkich to dotyczyło, postanowiłem własnoręcznie podpisać. Podpisało mi 1500 chłopów mało-rolnych i średniorolnych, — samych podpisów dołączyłem 5 arkuszy papieru — poczem uchwalił złożyć składkę i jechać z tą petycją do samej Warszawy, aby osobiście doręczyć do Sejmu. Ja jednak obawiałem się tym, że lepiej posłać po prostu listem, wysłanników chłopów pewnie tam nie dopuszczą, albo jeszcze osadzą w Berezie Kartuskiej. Zrozumieli i przyznali mi słuszność.

Czekałem na odpowiedź blisko 2 miesiące, a tymczasem komornik zabierał mi po kolei wszystkie rzeczy z chaty. Wreszcie odpowiedź nadeszła — tej treści, że niepotrzebnie to wszystko pisać, bo sytuacja się nie da poprawić. A co do mej osobistej krzywdy, jaką wyrządził mi dyrektor Młynarski, to Sejm nie może w te sprawy wnikać — od tego Rząd ma prokuratorów. W załączeniu plik ustaw o sądach rozjemczych.

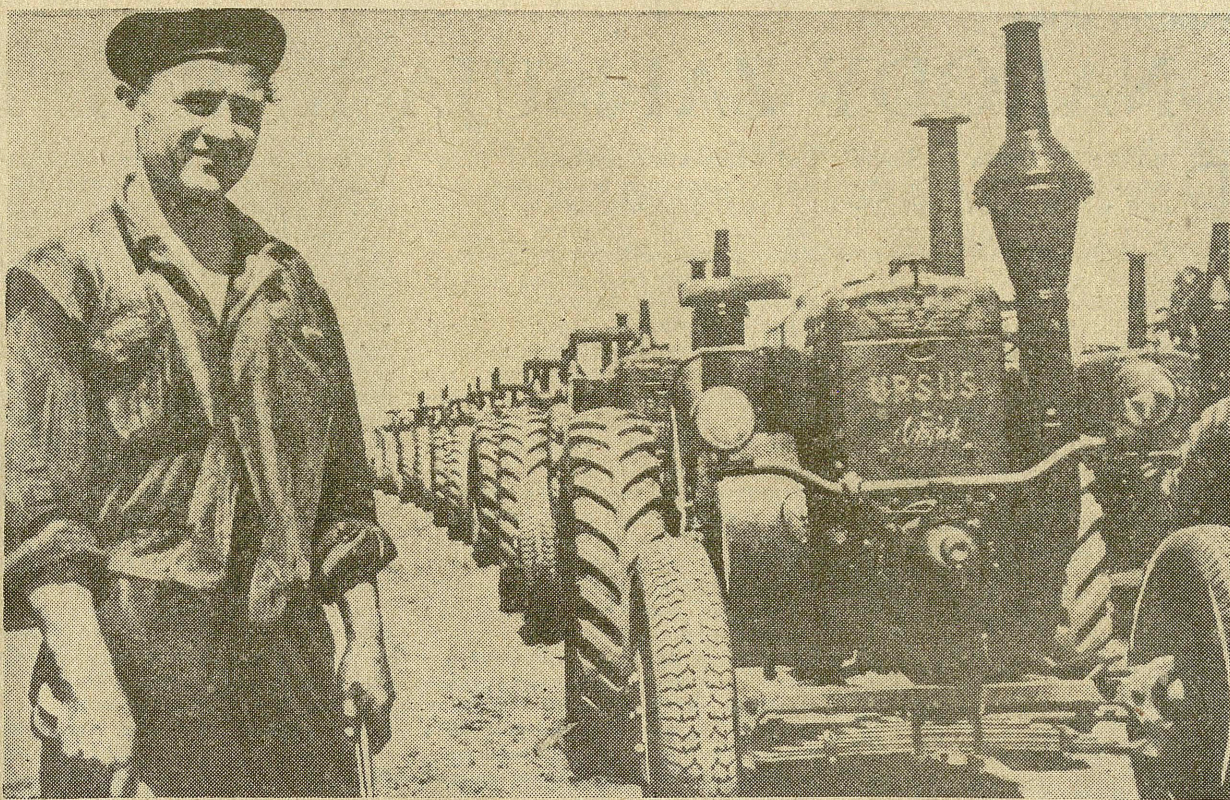
Tylem zyskał sprawiedliwości od sanacyjnego sejmu. Za to, że dołożył ostatnią krowę, że gotówkę za moje weksle przepił i przespał biurokrata — dyrektor w zagranicznych hotelach, za to przysłano mi plik papierów o sądach rozjemczych!

Gdy przeczytałem odpowiedź chłopom, w okolicy zaważało, zwłaszcza, że w tym samym czasie obszarników w gromadzie Manowicki umorzono 5000 zł podatku na budowę pałacu. Zaczęliśmy szykować się poważnie do walki. Urządziliśmy w naszej gminie kilkakrotnie strajki i manifestacje, a największa z nich, głośna na kraj cały, odbyła się w r. 1937. Było to wczesną wiosną, bodajże w kwietniu. Na racławickich bioniach, pod Kopcem Kościuszki, zebrał się tłum parę tysięcy i jawnie protestował przeciw sanacyjnym bezprawiom, domagając się radykalnej poprawy dla chłopów. Kiedy tłum zaczął wołać: precz z rządami obszarników i kapitalistów, pojawił się na bioniu oddział policji, chyba ze 200 osób i ruszył do szarży w naszym kierunku. Posypały się wtedy kamienie, cegły, błoto, rwano koły z przydrożnych płotów i dalej wbieh policjantów.

Policjanci użyli ostrych nabołów, 3 chłopów zabito, kilku zostało rannych, ale myśmy pod ogniem dalej napierali z kamieniami. Ja sam z pociskami kamiennymi podchodziłem z boku, starając się uderzyć głównego dowódcę szwadronu. Nie wiem, czy dostał moim pociskiem, czy innym, ale wiem tyle, że widziałem go po zaciśnięciu łbem obandażowanym. Nawet moi dwaj mali chłopcy targali kamienie i rzucali na policjantów wołając: macie złodzieje za naszą ostatnią krowę.

W wypadki będę pamiętał do końca życia. Jestem już starym chłopem, mam 58 lat i niewiele mi życia pozostało — ale nigdy nie spocznę w walce o sprawiedliwość i prawdę. Dlatego zostałem korespondentem, — aby bić i piętnować przeróżnych biurokratów i oszukanów, niedobitków dyktatorów Młynarskich. Bo dziś rząd nasz ludowy staje w obronie ludzi pracy i dlatego też z tak wielką i głęboką radością staje dziś do wyborów, bo widzę na naszych listach wyborczych ludzi spośród nas samych, którzy oszustom i wyzyskiwaczom nie będą folgować, a staną twardo w naszym interesie ludowym.

Piotr Doniec



TADEUSZ GIGIER

Do młodych wyborców

Widzę zapadłe, blade twarze
kazetempowskich bojowników —
oczy się w nich jak głównie żarzą
na zakonspirowanym strychu.
Jutro ich tajemnic już wyledzi
i sanacyjny zamknie loch —
lecz dzisiaj jeszcze się rozejdzie
ulołka — nabój — proch!

Widzę obdarte, nędzne dzieci
w zaułku, na skraju chodnika,
gdzie słońce przez chwil parę świeci,
a potem na dzień cały znika.

Nie było dla nich miejsca w szkole,
(fakt ten by zmienił gruby trzos)
podzielił pewnie siostr swych dolę
i braci starszych los.

O, druho mój z fabrycznej sali,
co pracy pełne masz dziś ręce, —
kolego z wykładowej auli,
który jak światło — czerpiesz wiedzę,
o, młodzi moi towarzysze
od krosien, kielni, plugów, piór —
to dla was wiersz ten właśnie piszę
idących dziś do urn.

JAN KOPROWSKI

Do osiemnastoletniego



Kolego, dzisiaj osiemnastoletni,
wiem, czemu w sercu twym radośnie.
Twój Pierwszy głos ten dzień uświetni,
Polska piękniejsza nam wyrośnie.
Ja, gdyś był kiedyś w twoich latach,
nie miałem jednej chwili jasnej.
Snuło się życie gorzkim pasmem,
w sercu nienawiść rosła do świata.

Dzisiaj stajemy obaj przed urną,
by razem złożyć nasze głosy.

Już żaden z nas nie będzie bosy,
w przyszłość, mój chłopcze, idziemy górą.

WACŁAW MROZOWSKI

Listy

DO OJCA:

Pamiętaj, z siwych włosów obłokiem
Ojcie, jak młodość daleki,
że radość bije do jasných okien
jak fale rzeki.

I wspomnij w chwili, gdy w drżące palce
weźmiesz swą kartkę dumnie,
wszystkie Chopina mazurki i wale,
które na pamięć umiesz.

I pomyśl, ileś lat musiał czekać
z nadzieją ogrodnika
i jaka droga była daleka
i syn nie Janko Muzykant.

DO SIOSTRY:

O młodości naszej nie wspominaj
co jak rzeka mulista i kręta,
każdy dzień jednako się zaczynał,
z jakimś lękiem i trwogą — pamiętasz?

A dziś, gdybym Cię o to zapytał,
gdy Cię rano płacz dziecka budzi, —
— każdy dzień jak kwiat wiśni rozkwita,



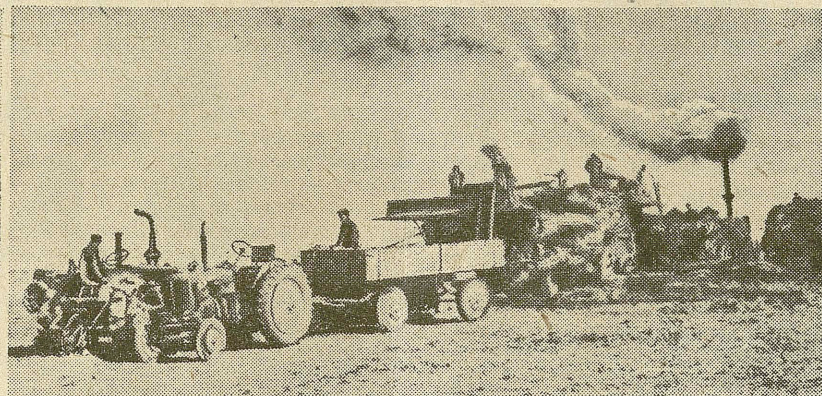
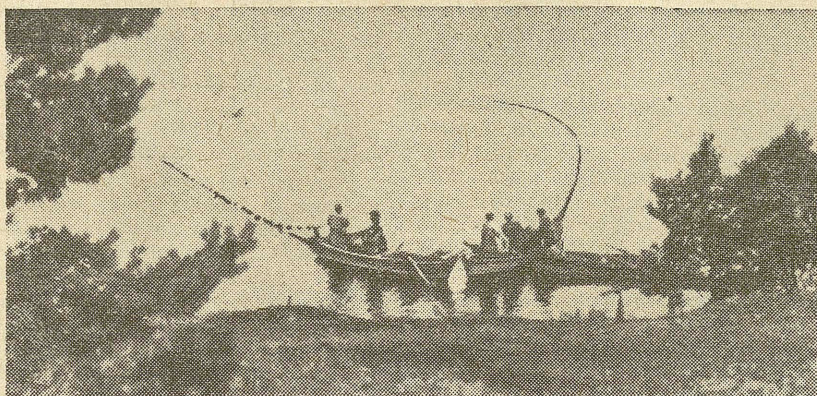
żeś szczęśliwa jak każdy z ludzi —
odpowiesz.

Przeciw tamtym dniom podnieś rękę,
dniom kwitnącym — dziedzica i księcia —
za swą radość dziś, rzuci głos jak podziękę
i za uśmiech i płacz niemowlęcia.

Pełna wzruszenia, weźmiesz w ręce
wyborczą kartkę
i rzucisz, jak się rzuca serce
przed dobrą matką.



Rybnie Łyna od Olsztyna



WINCENTY DZIURBA

Przełomowy rok

TEN rok śmiało można nazwać przełomowym dla naszej gromady Galiny (pow. Górowo-Ź, woj. Olsztyn). Przede wszystkim dlatego, że już dokładnie zdajemy sobie sprawę z naszych osiągnięć i niedomagań. Myślicie może, że to taka prosta sprawa? Otóż wcale — nie! Zjechalismy na ławeczki z różnych stron. Co chłupa to inna dzielnicą Polski centralnej albo zabużania. I co gospodarstwo — to inna technika uprawy roli, inna wiedza rolnicza, inne doświadczenia produkcyjne. Pamiętam, że jeszcze 2 lata temu w żaden sposób nie mogliśmy ustalić wyraźnego planu gospodarczego dla gromady. Rzeszowiaci obstawiali głównie za owcami, wliniacy za łem i żytem, a ci ze środka kraju nie — tylko siedzieli i siali koniecznie wszystkiego po trochu. Ludzie rozumieli wprawdzie, że u nas udają się buraki i rzepak, zachęcali się nawet możliwościami rozwinięcia hodowli, ale stare nawyki — nie wiem jak tam u innych — ale z chłopów tak łatwo nie wychodzą. Dość, że przez ładnych kilka lat gospodarzyliśmy trochę każdy sobie i zupełnie po staremu.

Przełom zaczął się właściwie bardzo wcześnie, bo już w 1947 roku, ale wcale na to początkowo nie wyglądał. Po prostu część gospodarzy przerzuciła się na hodowlę mlecznych, a nawet mięsnych krów. Dostawali mleko do naszej mleczarni, sprzedawali do rzeźni żywicy i wysunęli się z czasem na czoło gromady. Oni to zabrali się do racjonalnej uprawy łąk, których nam tu nie brak, a z kolei ruszyli na rośliny oleiste i przemysłowe. I — trzeba to powiedzieć — że reszta dopiero w zeszłym roku poderwała się do hodowli, buraków, ziemniaków przemysłowych, rzepaku i lnu. Ale też i tego-rodzajne wyniki przesyłały nasze oczekiwania.

Pozwólcie, że się trochę pochwalę. W naszej gromadzie mieszka 20 gospodarzy, samych średniaków, mających po 7—9 ha. Mała gromada, ale dość znana w okolicy. Przeprowadziliśmy żniwa w rekordowym tempie. Jest inna rzecz, że niektórzy musieli brać się do kosy, nie chcąc darmo wycekiwać na GOM-owską żniwiarkę. Zwieźliśmy do stodoł zboża pięknie i czyste jak perły. Bumelantów nie było ani jednego, a nawet polawili się przodownicy, którzy dopomogli w zbiorach spółdzielni produkcyjnej w Warszawkach. Ludzie nasi zmienili się w ostatnich latach i nie myślą już tak: „byliśmy my pierwsi w Galinach”, czują się odpowiedzialni za całą gminę. Z pomocą sąsiedzką sprawa u nas nie trudna, bo potrzebują jej tylko dwie wdowy. Nie daliśmy się im przeprowadzić.

A najwięcej zadziwiły nas same zbiory. Omloty dały przeciętnie 30—40 proc. więcej pięknej ziarna niż w roku ubiegłym. Wyszył dwa razy lepiej len i konopie. A już prawdziwe zdumienie budziły buraki, które rosły nad podziw. A przecież pamiętam, jak sąsiedzi opowiadali agromomowi, że ziemia nie kobieta, nie namówisz, żeby rodziła, kiedy nie chce. Okazuje się, że nawozami, staranną pielęgnacją można ją nawet w naszych średniorodajnych stronach — do większej wydajności namówić.

Wreszcie — trawa, lekceważona przez wielu — trawa, dziś można powiedzieć — fundament naszej gospodarki! Powiem krótko — zebraliśmy już w pierwszym pokosie przeciętnie 50 proc. więcej niż roku ubiegłego. Paszy starczy na tyle, że można poważnie myśleć o dalszym rozwoju hodowli krów. U nas rośnie na łąkach skoszonach — jak my to nazywamy — potraw, i on nam przysporzy jeszcze więcej siana.

Dlaczego przełom? Widzicie, powiem trochę ze wstydem, ale dopiero w okresie przedwyborczym, będzie przeszło miesiąc temu, a może i więcej — przestudiowaliśmy dokładnie zadania Planu 6-letniego w naszym województwie. Pewno, że nieraz się o tym już wcześniej mówiło, ale dopiero ostatnio przekonaliśmy się,

że przedstawiając naszą gospodarkę włączamy Ziemię Olsztyńską do reszty kraju. Otóż napisano w Planie, że wzrost produkcji zwierzęcej wyniesie 154 proc., z czego pogłowie była wrośnie o 132 proc., trzody chlewnej o 158 proc., a owiec o 167 proc. I jakby tak dobrze policzyć nasze krowy, mleczne i mięsne — na to samo wyjdzie. Co do owiec — to rzeczywiście trochę jeszcze niedomagamy. Ale wiemy, że nasze Mazury mają żywić robotników z Żerania, to znaczy, że jak wykonamy nasz rolniczy plan na Warmii to zwiążemy tę ziemię z resztą Polski na zawsze.

Pewno, że są i niedomagania, ale można stosunkowo łatwo usunąć dużą ich część. Dokucza nam trochę biurokracja i niedostateczne zaopatrzenie GS-ów w potrzebne artykuły. Dla przykładu powiem, że jak zaczęło w połowie lata Prezydium GRN radzić z kierownictwem GOM-u nad wysykiem maszyn do żniw i omlotów tak pewno do dzisiejszego dnia nie skończyli. Za dużo tego radzenia, a za mało roboty. GS-y nie miały smoly do polewania dachów, leje się trochę woda do niektórych stodoł, no i ziarno może stracić na wartości. W magazynach nie było saletrazu i azotniaku na czas. Bo po czasie, kiedyś pisał, to nawóz się znalazł.

Są to wszystko trudności, które można przezwyciężyć, oczyszczając nasz aparat z przypadkowych elementów, często spekulantów i wydrwigroszy, którzy przybyli tu nie wiadomo skąd, zresztą zyskiwali sobie poparcie, a następnie brali się do pokątnego handlu społecznym dobrem. Mamy pewność, że wybory do rad terenowych, których się spodziewamy, oczyszczą szeregi kadr w GS-ach i GRN.

Gorzej jest z trudnością inną. Oto sami obserwowaliśmy, jak rzetelnie pracują robotnicy w takich PGR-ach jak Besleda, Dzikowo i Cypelki, a jednak nie dali sobie należeć rady ze zniwami. Za mało jest jeszcze ludzi. Wyczytaliśmy, że Olsztyńskie zamieszkuje już ponad 600.000 ludzi, ale drugie tyle powinno jeszcze na naszej ziemi przybyć. I ten brak, niewiedzy w naszej małej gromadzie, odczuwa wiele wsi, a zwłaszcza PGR-y.

A przecież spójrzcie tylko ku ławskim jeziorom — Plaskiemu, Rucewańskiemu, Jeziorakowi, spróbujcie nocnego połowu ryb, przemierzcie wspaniałe lasy od Iławy po Zalewo, przejdźcie na wschód ku wspaniałym łąkom Karczmisk, Duby, Wielowsi i Bynowa, a przekonacie się, że skoro raz w te strony polski chłop przyszedł — na zawsze pozostanie.

Wincenty Dziurba



ALEKSANDER GRABOWSKI

Proste słowa

PRZYJMIEJCIE ode mnie te proste słowa, chłopie niewprawnygo w pisanu, osiedlonego na Ziemi Olsztyńskiej.

Przybyłem tu roku pańskiego 1947 w czas dosyć jeszcze burzliwy i niepewny. Dotatywały nas plotki, że długo na Ziemiach Odzyskanych nie pobędziemy, bo oddane nam tylko czasowo. Ale takiego, co razem z żoną zniósł lata poniewierki przy jasnej pańskim dworze — łatwo nie zastraszy. Bez żalu opuściliśmy wieś Żabowo w powiecie płońskim, gdzie tyle przecierpeliśmy.

Nasza nowa wieś — Różana, gmina Pieniężno pow. Braniewo, była już prawie w całości zasiedlona, kiedy przybyliśmy. Wcześniej przelatywały tu wędrownie ptaki — szabrownicy, ludzie mówiący po polsku, a przecież szarańcza, co niszczy wszystko po drodze. Dano nam domek robotniczy, człowieka, który tak jak ja, pracował u obszarnika. Okna bez szyb, chładek, rozdrapano obórka, zachwaszczony ogródek, potłaczany plot.

Na początku źle nam było. Nie mieliśmy gdzie trzymać krów, za domem rozciągała się szeroka łąka, porośnięta ziołami, wygorowana ziemia. Wielkie morze ostu i perzu. I tak to było, że wsiadłem kwintal, a zebrałem pół. Dzisiaj mogę się poszczycić gospodarstwem, bo jak rzucię w ziemię kwintal, to mi da dwadzieścia albo i więcej. Mam ja kilkadziesiąt albo i więcej. Mam ja trzy krówki, kilka świń, ewentualnie pięć i ze sześćdziesiąt chłopa szuk drobiu.

Zona moja, to dobra i pracowita kobieta. Kiedyś, za sanacji, zrywała się co rano przed czwartą, latem czy zimą — wszystko, jedno — żeby dzieciom krów dopilnować. A dziś, kiedy pokazuje naszym znajomym z warszawskiego gospodarstwa to aż wierzyć nie chcą, żeby mogło być tak dobrze. A tak do tego zresztą agituje, że sprowadziło się w te strony pięć rodzin biedoty i mają się nie gorzej niż my. Jeszcze jedna rodzina ma na dniach tu zjechać.

Moje dzieci nie będą analfabetami, jak ja i moja żona. Piszę tak, bo przed wojną skończyłem zaledwie dwa oddziały, a resztę lat swoich przesiadywałem w dworze i u kulałów. Za łach, w którym bogacz nie raczył już chodzić, za niedźwiedzią strawę gnoj nakładałem i palem krowy. I dopiero kiedy nasz rząd przyszedł, dano mi możność ukończenia 7 oddziałów, chociaż dawno z dziecka wyrosłem. A i żona przeszła kurs dla analfabetów.

Jedna moja córka chodzi już do czwartej klasy, a druga do pierwszej. Co do starszej, to chciałabym, żeby dalej tak dobrze się uczyła i wyszła na nauczycielkę. Co będzie z drugą, to sam nie wiem, ale chyba na agrotechnikę pójdzie, bo stale wynajduje jakąś robotę na polu. A ma ci ten spryciarz swój własny ogródek, rośnie w nim trochę żyta, trochę lnu, rzepaku, maku i jarzyn. Powiadam wam, że się nadziwił nie mogę, jak pod mój młotynem okiem ciągle coś ulepsza, krzyżuje, nawozy odważy i miesza. Mam i trzecią córkę. Ta pewno wyrobi się na mu-

rarza, bo stale domki stawia i upaćkana chodzi.

Powiedzieliśmy sobie z żoną, że my się stąd nie ruszymy, chociaż chcąc nas zastraszyć zamorskie podżegacze. Strachy na lachy, nie obawiamy się gnijących bestyj. Nieraz się z sąsiadami gwarzy na ten temat. I każdy powiada to samo — ożyła w naszych rękach martwa ziemia i nadal z nami żyć będzie.

Dziś już widząc jak zakwitły nasze nowe strony. Wyjść człowieku na drogi, zobacz jak ciągną na punkt skupu wyładowane po brzegi wozy! Oto mój drogi sąsiad Jan Grabowski odstawił zboże w 180 procentach, mleko w 210 proc., a z podatkiem jest w porządku. Albo Wirszewski Jan, ten sam, co to 300 kg żyta ponad plan oddał, z mlekiem wyszedł na 180 proc. i podatek spłacił. Taki jest nasz Front Narodowy! Ile to mostów zbudowaliśmy na Braniewsku, ile poprawiliśmy kilometrów dróg! A któż, jak nie my, zbudował nową linię kolejową z Braniewa do Ornety? Któżby zliczył nowe domy budowane przez nasz ludowy rząd.

A ile mamy w ośrodkach maszyn takich, co jak tyle lat żyje — nie widziałem: do roztrzaskania obornika, sadzenia ziemniaków, kopania buraków cukrowych. I te maszyny nam służą.

Co naród chłopskimi rękami stworzył — pozostanie jego na zawsze. Ja prosty chłop, Grabowski, odpowiem łachudrze zą oceanu, co każdy z nas: tej ziemi nie dostaniemy, bo tu nasze serca biją.

Aleksander Grabowski.

JÓZEFA SKOWROŃSKA

„Dziś polskie tam sztandary”

PISZĘ z Warmii i Mazur, krainy tysiąca jezior, rozległych lasów, ziemi, którą od wieków zamieszkują Polacy. Żyje w pamięci naszego ludu tradycja walki z prusactwem i hitleryzmem. Wielu jeszcze ludzi wspomina chłopskiego poetę Kajkę, wielu pamięta Andrzeja Samulowskiego, który sam pisał i piecizolowicie zbierał u schyłku XIX stulecia polskie pieśni ludowe. Znajdźcie w naszych stronach nie mało powiastek w których Mazury mimo naskiku hakatystów nie chcieli się nauczyć niemieckiego języka.

Dziś, po wielu latach, kiedy przemienili burze, zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, co to znaczy być wolnym, pełnoprawnym obywatelem, który może swobodnie postąpić się swą mową, śpiewać pełną pierśią drogie nam pieśni. Chodzi jednak jeszcze o coś więcej. Kiedyś podlegalismy nie tylko narodowemu, ale równocześnie i klasowemu wyzyskowi. Jak daleko sięga moja pamięć — członkowie rodziny i wielu okolicznych chłopów służyli u „bauerów” i pruskich junkrów. A dziś mamy pełne prawo do awansu społecznego, dostęp do wszystkich stanów, urzędów, godności.

Mam córeczkę, uczennicę 6 klasy TPD i średniej szkoły muzycznej. Pomyśleć tylko — czy ja prosta pielęgniarzka mogłabym za czasów pruskich śmiało patrzeć w przyszłość swego dziecka, kształcić je bez odejmowania sobie od ust? Czy mogłabym marzyć o tym, że zostanie kierownikiem miejskiego ośrodka specjalistycznego? A ze mną nie była wcale taka prosta sprawa. Znałam język polski słabo i trzeba było 2 twardej lat pracy nad moim powrotem do macierzystego języka, bym mogła należeć do szeregu powierzone mi obowiązków.

I czy w jakimkolwiek kraju rządzone przez pieniądź, doznałabym tyle pomocy i życzliwości w pracy? Na pewno — nie, bo tak podchodzi do człowieka pracy tylko taki kraj, w którym rządzi robotnik i chłop, w którym buduje się socjalizm.

O naszych rodzinnych stronach można napisać jak i o reszcie kraju — dokonało się społeczne wyzolenie człowieka pracy. I dlatego to cała ojczyzna jest solą w oku imperializmu amerykańskiego. Dlatego Adenauer, klika Kruppów i Schachtów wyciąga łapy po nasz kraj, ale za krótkie są ich ręce. Nie dla wojny, lecz pokojowej pracy wychowujemy nasze dzieci. I dla wieczystego pokoju odbudowujemy stare miasto w Olsztynie, dźwigamy z zacołania nasze Mazury, uprzemysławiamy je.

Idą wybory, jak to mówią moi rodacy — „welunek”. W tym „welunku” oddamy głosy na kandydata Frontu Narodowego. Nie mieliśmy nigdy w dziejach przedstawicieli sejmowych naszego ludu. A dziś, obok robotników, chłopów i inteligentów, przybyłoby do nas z Polski centralnej, by wspólnie przebudowywać naszą ziemię — figurują na liście kandydatów znani wszystkim bojomowi o narodową i społeczną wolność Warmii i Mazur. Każdy z nas ze wzruszeniem czyta nazwiska — Juliana Malewskiego, przewodniczącego WRN w Olsztynie, chłop — Augusta Rogali, gniebionego przez Niemców, nauzciciela — Edwarda Turowskiego, czy 22-letniego robotnika Gerarda Skoka, dziś wiceprzewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego ZMP...

Pozwólcie mi zakończyć urywkiem z hymnu mazurskiego, który napisał do melodii Feliksa Nowowiejskiego jego brat Rudolf, obaj warmiacy, rodem z Barczewa pod Olsztynem:

My Warmio twoje dzieci,
Kochamy ten nasz kraj,
Po latach burz, zamieci,
Niech bliższe szczęścia raj.
Olsztyński zamek stary,
Krzyżactwa mieścił gród,
Dziś polskie tam sztandary
I odrodzenia cud.

Ten cud nasz lud warmiński u-
możnił pracą i bronił będzie w po-
trzebie.

Józefa Skowrońska

WANDA MELCER

Będą we wsi „same uczone”...

OBYWATELKA Dziakiewiczowa, osadniczka, zamieszkała od czterech lat na Mazurach w Szwardkach gminy Waplewo o 15 kilometrów za Olsztynem ma wielki kłopot. Zawieramy znajomość w autobusie zdążającym z Olsztyna do Ostródy, więc zasięga mojej rady. Mąż jest soltysem i ma wiele cudzych spraw do rozstrzygnięcia, dzieci troje, jest więc o czym myśleć. Przybyli z Buga, gdzie mieli trzy morgi łąki i ziemie. Tutaj dostali piękne, zelektryfikowane gospodarstwo, mają kawalek łąki, dwa konie, trzy krowy i obrabiają siedem ha ornej ziemi.

Starszy syn Dziakiewiczów, Józef, kształci się na zawodowego oficera, córka jest w Olsztynie w handlowce, ale te dzieci nie sprawiają jej tyle kłopotu, ile młodszy, który jest w liceum pedagogicznym w Ostródzie. Co robić z tym Władkiem?

— Żle się uczy? — pytam.

— Gdzie tam, bardzo dobrze się uczy, nie myśli o niczym, tylko o książkach, i strasznie dzieci lubi. Jak się dwóch malców pokłóci, zaraz go wzywają żeby godził, taką ma powagę.

— Więc o cóż chodzi?

— A chodzi o to, że przyszedł leśniczy, bo u nas ogromne lasy i namawia, żeby Władka, który jest taki poważny i mądry chłopiec, odebrać z liceum i dać do szkoły leśnej. Miałby darmowy internat, a po sześciu miesiącach otrzymałby samodzielną posadę, nie by ich już nie kosztował, sam by sobie w życiu dawał radę, bo to i awans pewny, leśniczy strach jak potrzebni. Więc ona jedzie do tego Władka zapytać go, czy nie chciałby się przenieść i zostać leśnikiem? Jak bytoby dla niego lepiej? Co ja o tym myślę?

Patrzę na obywatelkę Dziakiewiczową i widzę, jak wyznaję mi te swoje kłopoty rośnie z matczyńskiej pychy, że tak jej się dzieci udają.

— Może by spytać, co by on sam wolał?

— Tak, ona właśnie też tak myśli i po to jedzie, żeby wszystko synowi przedstawić. Z jednej strony chciałaby, żeby się stał od razu samodzielnym, ale znow z drugiej strony szkoda jej, że on tak dzieci lubi, w tych książkach by tylko siedział, i o niczym innym nie mówi, tylko „nauczycielem i nauczycielem, mamusi, zostanę”. A ostatecznie, jak wszystkie dzieci pójdą do szkół, kto będzie ziemię uprawiał?

— Spółdzielnia u was jest?

— Tymczasem jedna, osiem kilometrów od Olsztyna.

— Dobrze im się wie dzie?

— Bardzo dobrze. Z początku źle wyrachowali i za drogę ich maszyn kosztowały, ale teraz wszystko wyrównali. U nas też myślimy o spółdzielni.

I jeszcze się pani pyta, kto będzie ziemię uprawiał? Część ludzi odejdzie do innej pracy, a tym, co zostaną, pomogą maszyny.

Nie całkowiec jednak przekonałam obywatelkę Dziakiewiczową. Patrzy na mnie z głęboką troską w oczach i mówi po namyśle:

— To może być ciężko. Bo tak się u nas złożyło, że we wsi same uczone siedzą.

Droga, kochana obywatelko Dziakiewiczowa! Kazałabym złotem na marmurze wyrzeźbić wasze słowa wszystkim podległym wojennym na pohybel. Kiedy Adenauer przeczyta to zdanie, wystyd mu obleje perłami, policzki i wytarte czoło, Franco złapie się za głowę z przerażenia, Amerykanie uciekną z Francji, a kłamliwi przywódcy Labour Partii ustąpią nareszcie miejsca prawdziwym przedstawicielom pracy.

U was we wsi, w Szwardkach gminy Waplewo, 15 kilometrów za Olsztynem wieksość chłopskich dzieci kształci się w wyższych szkołach, a tak są niezbędnie potrzebni, że jeszcze nim ukończą nauki, jak na nich czeka warsztat ciekawej pracy!

Czyż trzeba wymowniejszego argumentu za Frontem Narodowym? I czyż my wszyscy, którzy dożyliśmy i na własne oczy taką Polskę oglądamy, możemy głosować inaczej, niż na Front Narodowy?

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Pisarz w terenie

DAWNIEJ w ustroju burżuazyjnym, jedynym ośrodkiem kultury była stolica. Promieniowanie tej kultury nie docierało głęboko na prowincję; reszta nie zawierała się do nawet w elitarnych programach. W socjalistycznej koncepcji kultury podstawowym warsztatem twórców jest teren. On to wnosi nowe i oryginalne wartości, podstawową wiedzę o życiu, a w oparciu o pracę oświatową, nauczyciela i bibliotekarza, przy pomocy sieci korespondentów wychowuje samorodne talenty, nabyknie do Kół Młodych przy Związku Literatów.

Niedawny zjazd pracowników kultury w Szczecinie ostro postawił problem życia kulturalnego w terenie. Człowi prelegenci (J. Kott i W. Sokorski) wykazali, że pod tym względem teren otaczany jest ciągle jeszcze niedostateczną troską. Kadry kulturalne i oświatowe w terenie nie zawsze stoją na wysokości zadania, za mało wkładamy wysiłku w ciągłe podnoszenie kwalifikacji pracowników. Niedostatecznie troskamy i czynny jest stosunek do zagadnień kultury i sztuki ze strony wydziałów rad narodowych. Twórcy, nie znajdując dla siebie środowiska, bazy działania w postaci pracy oświatowej (bibliotekarska, nauczycielska) — ucieka do stolicy. J. Kott wskazał w związku z tym na nierównomierne rozmieszczenie kadr kulturalnych w Polsce. Geografia ta cechuje się nadmiernym zagęszczeniem i białymi plamami. Zarówno prof. Kott jak i minister Sokorski orzekli, że nastąpiła w Polsce jednostronna centralizacja życia kulturalnego: w stolicy nagromadzone zostały najokazalsze warsztaty pracy (biblioteki, wydawnictwa, pisma); tu skupili się twórcy (przeszło połowa pisarzy z całej Polski); tu wreszcie wytworzone środowisko artystyczno-kulturalne o najwyższym poziomie, przyciągające twórców z terenu. Mówcy i dyskutanci wykazali, jak praktyka łamie słuszną intencję — mimo naszego nastawienia się na kulturalną aktywizację terenu, następuje ciągły odpływ sił z terenu do stolicy. Nie jest to zjawisko pożądate w naszym planowaniu kulturalnym. Zjazd wołał o „rozładowanie Warszawy”, o rozmieszczenie sił twórczych po całej Polsce.

Ale ten niewątpliwie słuszny postulat budzi nowe troski, które podniósł w dyskusji na szczecińskim Zjeździe prof. Ejbisz — czy oddalony od wielkich warsztatów pracy, bibliotek, pism i wydawnictw, młody twórca nie straci na aktywności produkcyjnej? Nie są to zagadnienia łatwe. Wychodzą one i w Związku Radzieckim, gdzie Moskwa skupia większość pisarzy i gdzie występuje zagadnienie twórcy „peryferyjnego” (termin radziecki). W Związku Radzieckim istnieje tak samo zagadnienie rozprowadzenia twórców i warsztatów pracy twórczej po ol-

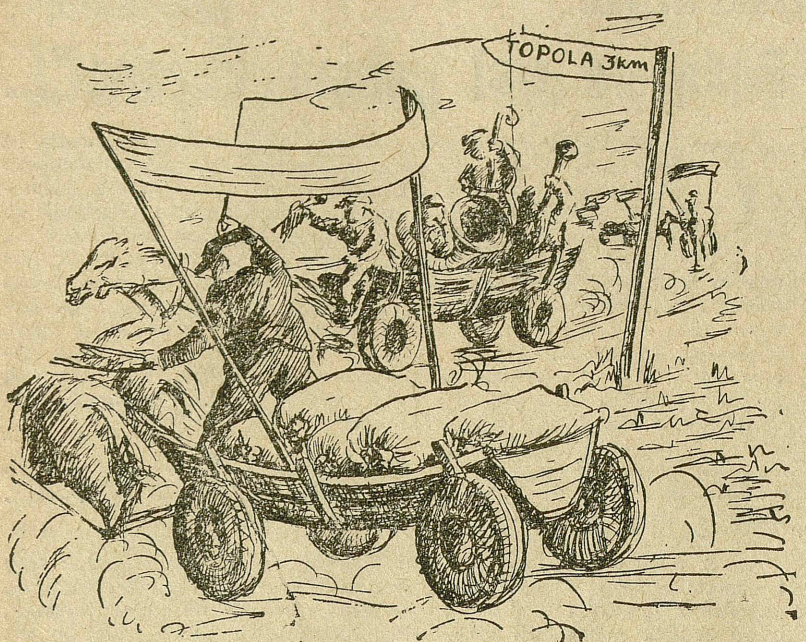
brzymich przestrzeniach pierwszego na świecie państwa socjalistycznego. Przypatrzmy się rozwiązaniu tych zagadnień w ZSRR na odcinku życia literackiego.

W Związku Radzieckim utrwaliło się przekonanie, że pisarz nigdy nie osiągnie wielkiej pozycji, jeśli nie wyrośnie z samego życia, jeśli nie wyjdzie od doświadczania mas i nie przyniesie ze sobą utworu typowego, właściwego dla życia mas ludowych w danym okręgu. Przed pisarzem rysuje się zadanie odzwierciedlenia życia lokalnego, odnalezienia w lokalnym zjawisku ogólnego i typowego przy jednoczesnym zachowaniu bogactwa miejscowego kolorytu. Kim jest taki potencjalny pisarz w pierwszej fazie? Aktywnym społecznym, korespondentem gazety, oświatowcem. Pierwszy surowiec wymaga oczywiście obróbki. Te pomoc pisarz odnajduje w terenowym piśmie literackim, w miejscowym almanachu. Przez pismo autor wychodzi na ubity szlak literatury.

Siła literatury radzieckiej tkwi m. in. w umiejętnie stworzonej sieci organizacyjnej. Związek Pisarzy Radzieckich liczy w swoich szeregach wielu pisarzy o światowej sławie, ale aktywny Związek w terenie to ponad tysiąc literatów o średnim lecz bardzo wyrównanym poziomie, literatów czynnych, upolitycznionych, umiejących dobrze pisać. Kadry te rozmieszczone są po całym Kraju Rad. Związek Pisarzy posiada oddziały i własne pisma literackie w najbardziej odległych zakątkach kraju. By pisarz z odległego terenu nie musiał uciekać po sławę i zarobek do stolicy, powinien posiadać warunki twórczego rozwoju na miejscu. Te warunki w Związku Radzieckim istnieją wszędzie, a nazywają się: miejscowa gazeta codzienna, pismo literackie, almanach, nieraz Oddział Związku i wydawnictwo. W ten sposób pisarz w okręgu ataskim czy we Wławyostoku odnajduje lokalne dla swego talentu i ciekawości opiekę. Przykłady: w roku 1951 w Irkucku (Syberia Zachodnia), pisarze wydali 45 książek o łącznym nakładzie 1.100.000 egzemplarzy. W dalekim Wławyostoku wychodzi almanach „Radzieckie Nadmorsze”. Na Krymie drukuje się specjalny almanach pt. „Krym”, publikujący szczególnie wiele utworów o budowniczych Kanału Kriemskiego. W okręgu amurskim w piśmie „Nad Amurem” wypowiadają się literaci zgrupowani w mieście Blagowieszeńsk. W Taszkencie ukazują się w języku rosyjskim miesięcznik pt. „Gwiazda wschodu”. Przykłady można mnożyć. Świadczą one o tym, że pisarz „terenowy” w Związku Radzieckim otoczony jest troskliwą opieką. Szeroka sieć wydawnictw, prasy literackiej, czynność krytyki lokalnej ułatwia talentowi narodzin, umożliwia pisarzom pierwszy start. I tylko w takim wypadku pisarz może utrzymać się poza stolicą.

Grzegorz Timofiejew

A. KOWOL-MARCINEK



WOJCIECH DRYGAS

Niepotrzebne wyścigi

ZWŁASZCZA gdy wydawał polecenia, lub gdy był wzburzony, głos sołtysa Sudół brzmiał co najmniej równie potężnie jak ryk legendarnej trąby jeryhońskiej. W czasie pochodu dożynkowego, kiedy dowodził osobistie banderą konną, nikt w całej okolicy mu nie dorównał. Przekrzykiwał wszystkich. To też wszelkie metafory byłyby tutaj zbyt słabe, aby w sposób właściwy zobrazować siłę jego organu głosowego. Trzeba go było samemu słyszeć!

O ileż trudniej jednak dowodzić długą, bo ciągnącą się na kilometr kolumną wozów chłopskich, zwłaszcza gdy silny wiatr jesienny porwuje słowa i rozrzuca po polach. A mimo to, kiedy sołtys Sudół wdrapał się na pierwszy wóz nalożony kopiami z workami ze zbożem, wyprostował swą tegą postać i zmarzł, czując czoło w kształt litery Z, a z krani wybiegło tubalne: „Na wozy!” — kto żywo pospieszył na pierwsze wezwanie.

Za drugim hasłem, wyrażającym niecierpliwość, które podwierało wszystkie zady konie do zwawego klusa, w gwałtownym ścignięciu sołtysowskich brwi zarysowało się coś w rodzaju niepokoju. Może już wtedy, zanim zdołał minąć rozstaje dróg za rodzinnymi Leszczynami, zgadywał zbliżającą się nieuchronnie dramę? Tymczasem jednak nie było przecież przyczyn do niepokoju. Czwórka wozów, z których każdy dźwigał brzemień dziesięciu kwiatał doborowego ziarna, toczyło się szybko po gładkiej szosie. Chłopi strzelali z batów, parskali z ochotą konie, szeroko rozbiegane transparenty wzdymały niby żagle ostry pęd powietrza.

Ostatnie zabudowania wioski minęły z jasnem godnym wielkiego miana „sołtysowskiej banderki konnej”. Dalej przeskoczył z hasłem brukowany kocimi łbami mostek i zwolejąc z każdą minutą szybkość, zbliżał się do mającego być ostatecznym z listowia krzewami dzikich malin, łap drogowoskazu. Od tego miejsca, zgodnie z napisem: „TOPOLA 3 km”, należało skierować konie w lewo.

Nie uczynił tego sołtys Sudół, bo zanim zdołał pomyśleć o niewielkiej już odległości, dzielącej go od punktu skupu, stała się rzecz ustraszająca. Naraz zagrzechały wierzby, zajeżdżała basetla, ozwał się pisk falistego kłarnetu i bębna. Konie zaszłygły uszami. Zza krzewów malin, z bocznej drogi, wyłoniła się urzaskliwa konkurencja w postaci prezesa koła gromadzkiego ZSCh w sąsiednim Leszczynku — Pytlarka, atrygującego kapelą ludową w towarzyskich pasiakach, a za nim niekończący się sznur furmanek ze zbiorową dostawą zboża i ziemniaków.

— Stop! — zachłystnął się własnym okrzykiem sołtys Sudół, osadzając na miejscu kapelę z werbami, kłarnetem, basetlą, perkutem i bębniem i dużą trąbą. Jego dolna warg, cienka i bardzo ruchliwa, zdradzała despotyzm człowieka ze wszelkich miar ambitnego.

— Dokąd to przesie? — dodał z pogroźbą w głosie.

Ojciec koła gromadzkiego ZSCh, zwrócił swą siwą na samym czubku głowy kępkę włosów, skąd wzywał tubalny rozkaz. Oczy wdrapały anielski spokój, a gładkie czoło miało wyraz słodczy.

— Ano, do punktu skupu sąsiadzie — odparł ze zdziwieniem.

— Do punktu skupu, czy do samego diabła — pojeżdżacie za moją kolumną. Zrozumiano? — zagrmiał jak burza sołtys, który wdrapał się na najwyższą leżący wózek i górował teraz nad prezesem o dobre cztery głowy.

— My mamy kapelę — bronił swych praw do pierwszeństwa prezesa Pytlarka, — kapela jedzie zawsze na przodku...

— Wybijcie to sobie ze łba, prezesiuniu, pojedziecie za nami, w środku kolumny będzie lepiej słychać trąbę...

— Tak dobrze nima! — zagadał prezes. — Pojedziemy od przodka! A ja wam mówię, że od śródka...

— A właśnie, że od przodka...

Tu ojciec koła gromadzkiego zrobił straszliwy gest frędzlą batu, jakby chciał zmiażdżyć przeciwnika, co uprządkowało w ruch całą kapelę: zawraczały głośnie dwa werble, zajeżdżała złowieszczo basetla,

zapiszczał strapiiony kłarnet, a do wózków powiało rykiem strwożonej do cna trąby i groźnym uderzeniem bębna. Wzburzony sołtys niezdolny był wyrzec słowa ani nawet wydać krzyku. Nie, to już nie był człowiek. Był jak lew i mruczał jak lew. Naradzając się na skrócenie kar-kar trępnął konie biczykiem po pęcinach i pognął galopem do przodu, przeciskając się między furmankami a drzewa.

— Za nim! — wrzasnął nieudolnie prezes Pytlarek, gubiąc w międzyczasie anielski spokój i przyklejony do czoła wyraz słodczy.

Wszystko to stało się w jednej chwili.

Rozpoczął się dramatyczny wyścig, który długo będą pamiętały mieszkańcy całej gminy. Drzewa uciekały w szalonym pędzie do tyłu, na każdym zakręcie czyhało zimne techniczne śmierci. Popuszczając cugli walcącym kopytami koniom — sołtys odebrał się do tyłu. Odległość dzieląca go od kapeli ludowej malała z każdą sekundą. Jego wóz — jakby nie było — ciągnął dwadzieścia centnarów, furmanka konkurencji zawierała raptem sześciu chudych muzyków, jednego kapelmajstra i chłopca przy koniach. Zaden z nich nie ważył wiele więcej od worka z żytem. Sołtys zaczął desperacko usta — do ukończenia biegu pozostawało tylko pół kilometra... Ale oto już za plecami słyszysz dźwięki skocznej poleciły, przerywane czkawką trębacza, który z wielkiego impetu powietrza, upadającego przez duży otwór w głaz trąby — nabawił się przeciwnika.

Łeb w łeb pędzili teraz ulicznymi cieniej Topoli, wzniecając panikę wśród kaczek i indyków i strasząc skłóconą tromladą instrumentów spokojnych mieszkańców. Na pierwszym zakręcie wysforowała się do przodu kapela prezesa Pytlarka.

— Hej tam, z drogi! — wpadł przez bramę na podwórze gminnej spółdzielni, hamując z trudem rozbiegane konie przed rampą magazynu zbożowego. Tuż za nim wtarmosił się zielony z upokorzenia sołtys Sudół, gotów do dalszej walki o palmę pierwszeństwa.

— Moja kolumna za mną! — Lecz co? Chłopów ani widzieć ani słychu. Sposrzeniecie to, dokonane równocześnie przez obu konkurentów, odebrało im pewność siebie.

Jakoś tak od niechcenia, unikając wzajemnie spojrzeń, zagapili się w pełnej chwili na czerwony transparent, rozwieszony przed wejściem do magazynu. Każdy z nich odczytał po cichu widniejące na nim słowa: „Witajcie chłopcy z Leszczyn i Leszczynka zjednoczeni we Frontie Narodowym walki o pokój i Plan 6-letni — każdy woz kwiatał zboża i ziemniaków wzmacnia siły Ojczyzny Ludowej”.

— Oj, durny ty, durny z przodka i od śródka — stuknął się w czoło sołtys.

— Oj, ty głowo do poztoty... — klepnął się w czoło prezes.

W tym samym momencie nadjechał zgodnie chłopcy obu sąsiadujących ze sobą gromad. Wtaczając się na podwórze już z daleka wolano:

— Co z wami, ojcowie, powariowaliście, czy jak?

Prezes Pytlarek poczerwieniał jak dojrzwały pomidor.

— Co znaczy „powariowaliście”?

Wysunął się do przodka, aby was powitał na punkcie muzyki...

— A ja — zapewniał tubalnie sołtys Sudół — ino dla waszego dobra gnałem konie. Trza było przecie pomyśleć o dodatkowych wagach, kiedy nas dzisiaj dwie gromady...

Po czym, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, niedoszli konkurenci ujęli się pod ręce jak najlepsi przyjaciele i pełnym dostojenstwem krokiem wstąpili na rampę.

— Nie młóćcie chłopcy, zajeżdżać do was! Orkiestra marsza!

Wojciech Drygas.

HORACY SAFRIN

CHWAST

Pana Nikodema Chwasta łatwo poznać po łysinie: gdzie nie posiać, tam wyrasta, w każdym skwerze, w każdym kinie, w każdej dziurze — barze, biurze, w każdym wozie M.K.E. ujrzyć jego oczka szczerze w okularach lub bez szkieł.

Chwast — natura to szeroka, co w reakcji ma swój korzeń, Chwast — obrońca i adwokat „uciśnionych” ludzkich stworzeń. Tam, gdzie spory, właśnie, zgrzyty, gdzie sąd podzielony jest, rzuca Chwast swój „autorytet”, szept znaczący, słowo, gest...

Chwast, ludowych mas „dobrodziej”, głos ma dzwiczny i łaskawy — uśmiechając się łagodzi i rozrzęza „ziemskie sprawy”.

Pasek, szaber, spekulacja w jego ustach brzmią jak „miód”, nadużycie brzmi jak „racja”, demokracja zaś — jak „wzród”.

Chwast „przezacne” swe poglądy stara się zaszczepić bliźnim: wierzy w „ludzkosć”, w radio Londyn, w „twardę”, „miękkie” — słowem w „byznes”. Tylko czasem głos swój zniża, cedząc słodko (sans elan!): — Jak donoszą nam z Paryża, „trzeciej wojny” dojrzał plan — — —

Tenci podejrzanu typy, co wśród panis laury zbierał i żył z różnych „lip” i „lipek” — dziś, na szczęście, już wymiera.

Kiedy oddasz głos w niedzielę, wiedz, że z naszych wsi i miast, jako z pól szkodliwe ziele, raz na zawsze zniknie Chwast!

Czytelnicy o książkach

do pewnego stopnia wypaczony obraz walki z analfabetyzmem w Polsce.

Należałoby tu, moim zdaniem dać rzeczywisty obraz walki z analfabetyzmem, toczoną w całym kraju, należałoby pokazać te czynniki, które brały czynny udział w tej kampanii, pomagały, wspierały i przyczyniły się do zlikwidowania analfabetyzmu.

Pominąć czynnika planowania na korzyść „dobrej woli” jednostki wypacza obraz walki z analfabetyzmem w książce Karpińskiego i to stanowi jej główne niedociągnięcie.

Trzecia sprawa, która mnie rozczarowała przy czytaniu powieści Karpińskiego, to niewłaściwe powiązanie zagadnień. Walka ze szkodnikami przyrody — a walka z analfabetyzmem. Analfabeta Jasiek uczy się czytać i pisać — bo chce zostać lotnikiem. Czy nie lepiej walkę ze szkodnikami lasu połączyć z walką ze szkodnikami innych roślin rolniczych, co przecież jest również bardzo ważnym zagadnieniem i mogłoby posłużyć za temat do pięknej powieści, ale to jest zagadnienie wychodzące już poza ramy „Drogi do światła”.

Takiego wypadku jaki podano w książce, że lotnik przyjeżdża i tylko dzięki niemu zabrano się do likwidacji analfabetyzmu chyba w ogóle nie było. A przecież analfabetyzm został zlikwidowany i to stosunkowo w krótkim czasie i prawie równocześnie w całym kraju. A stało się to dzięki naszej władzy ludowej i jej słusznej polityce, mającej na uwadze dobro mas pracujących, podniesienie poziomu tak materialnego jak kulturalnego i umiędzianie z każdego mieszkańca miast i wsi pełnowartościowego obywatela, przez przyswojenie mu umiejętności czytania i pisanie oraz umożliwienie mu korzystania ze skarbnicy wiedzy i kultury narodowej.

I w tym uważam tkwi istotą „Drogi do światła” — tysięcy obywateli naszego kraju.

A. Kowol-Marcinek

Gazetka gminna

GORZKA TA CYKORIA...

Daj gospodyni dobrej cykorii! — to ci nagotuje kawę, ze paluszki liżać.

Co innego, jak cykorie wzmieć w swoje ręce kiepski urzędnik. Ten na pewno narobi takiego świństwa, że potem życie na długie czasy brzydnie.

Przekonał się o tym chłop z Sosnowicy. Ale zaczynając od początku. Wszędzie w okolicach Skawiny, w której mieści się fabryka środków kawowych, chłopci uprawiają kontraktową cykorię. Oplaca się ta kontraktacja, bo i cukru dużo się dostaje, różne nawozy, często premia wpadnie, no i z transportem nie ma kłopotów, bo Skawina blisko.

W tym roku cykoriana szczególnie ładnie obrodziła. Wzrosła w koczach jak nigdy. To też wszystka robota poszła w Sosnowicy w kąt, skoro nadzedł termin dostawy cykorii. Przed paroma dniami kilka furmanek zajeżdżało przed magazyn kawy w Skawinie. Długo czekał interesanci, żeby ktoś, do nich wyszedł. Wreszcie któryś ze sprytniejszych wywabił na pole magazyniera.

— Czego chcecie? — zaczął ten zaczepnie.

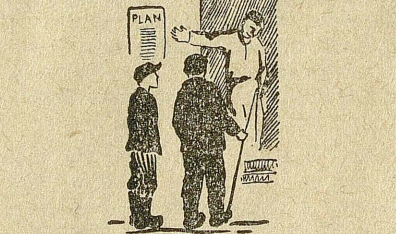
— Ano, przywieźliśmy cykorię — wyjaśnił chłop.

— Skąd jesteście?

— Sosnowiczy.

Magazynier cofnął się do kantorku, pogrzebał w papierach i z wysokości pięciu schodów oznajmił:

— Wracajcie mi zaraz do chałupy. I powiedzcie we wsi, że cykorie ze Sosnowicy przyjmujemy w listopadzie. Chłopi rada w radę udali się po sprawie.



wiedliwość do biura fabryki. Stracił przy tym kilka godzin, ale w końcu dowiedział się, że ich gromada ma zgodnie z planem dostawę cykorii 6 a 20 listopada. Wrócił więc do swojej wsi i prosto od wozów z batami w rękach poszedł do przewodnika kontraktacji, ob. Jana Brożka. Nie wiadomo, czym by się cała historia skończyła, gdyby Brożek nie schował się na strychu w sianie, a jego dzieła żona nie udowodniła urzędowym papierem, że mał jest niewinią. Bo musicie wiedzieć, że cykoriana byłaby jeszcze spokojnie siedziała w ziemi, gdyby Brożek nie otrzymał pisma z Zarządu Cukrowni Chybie, w którym wyraźnie stało, że „plantatorzy gromady Sosnowice winni niezwłocznie dostawiać cykorię, ponieważ termin dla Sosnowicy mija z dniem 20 października”.

Cóż więc pozostało Brożkowi do zrobienia, jak nie ogłoszenie tego pisma plantatorom.

A teraz w Sosnowicy jest tak: większość cykorii już wykopana, a kopaców ją do listopada nie oplaca się, zostanie nieokopowana — zesznie się na kosi i potem Skawina nie przyniesie. Najlepiej byłoby odwieźć ją do magazynu, ale plany nie pozwalają.

Roman Wójcik.

KARA W SAM RAZ

Mieszkał do niedawna w naszej wsi (pow. legzyca) pewien osobliwy człowiek nazwiskiem Antoni Polt. Przez długi czas nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego mu się pomieszał tak dokument — jeden z nocy. Polt — zwiady nocne i wyjeżdżał gdzieś w stronę Zgierz i Łodzi, za jasności zaś spał nierzadko. A że przy okazji przyspał też swój dostaw zboża i żywa, co — jak wiadomo — na honor gromadzie nie wyszło, postanowiliśmy zbadać tajemnicę Poltowego życia, bo przecież dla niego jednego nie można odstawiać nocami ziarna i tuczników.

Co powiedziane, to i zrobione. Chłopi, którzy byli na ostatniej wojnie urzędnikami, przeszli w zwiady nocne i przynieśli zastraszające wiadomości. Polt jest mordercą! Słyszeli wyraźnie jęki mordowanych ofiar, dobywające się z chlewni i obory. Gonił widąc swoje ofiary.

A rano wszystko się wyjaśniło. Ofiary pana poltowego obucha: 8 tuczników, 3 cielęta i 1 jalsówka.

Za jaką cenę mordował nieszczęśliwych stworzeń?

— Za paskarską.

— Kto mu ją wyplacał?

— Spekulanci ze Zgierza i Łodzi.

— Czy kara wymierzona mu przez Sąd Powiatowy w Łodzi jest zbyt duża?

ZGUBIONY SUPERFOSFAT

Nie dawno było u nas w Sosnowicy zebranie poświęcone wyborom I Frontu Narodowego.

Na dzień po tym zebraniu kilkanaście furmanek ze zbożem z Sosnowicy zajeżdżało przed gminny punkt skupu zboża w Brzeziny (pow. wadowicki). W ten sposób nasza gromada wykonała roczny plan sprzedaży zboża państwu, wysłała na czoło nie tylko w gminie, ale i w powiecie.

Cieszyliśmy się bardzo, ale nie za długo. Zaraz po południu pojechaliśmy do gminnej spółdzielni w Brzeziny po nawozy sztuczne, gdyż otrzymaliśmy za wiadomości, że Sosnowicy przynależą 2,5 tony superfosfatu.

W GS-ie magazynier ob. Jacek Jan oświadczył nam, żeśmy się spóźnili po te nawozy.

A gdzie się podział, tego pan Jacek nie potrafił wyjaśnić. Zresztą i nie mógł — bo mu się okropnie język piał i co chwila chwytała go czkawka. Z całego bełkotu zrozumieliśmy tylko tyle, że „załany” magazynier obiecywał nam, że następny raz otrzymamy na pewno wyrównanie. Dał nam nawet słowo honoru!

Cóż z tego, kiedy nawozy są nam już teraz potrzebne a to, co nam pan Jacek obiecywał, to my wiemy, że i tak na wiosnę otrzymamy.

Posłaliśmy więc do obywatela Władysława Kłosa, członka kierownictwa GS,

Chcemy Wam opowiedzieć jak daleko można zjechać stosując genialną metodę pana Stachowiaka, członka Zarządu GS-u w Mielenie, pow. Wałcz. Metoda ta miała na celu dobro chłopskich klientów, a miejsce jej zastosowania to po prostu sklep GS.

Myśl — być może — nie nowa, ale sposób w jaki pan Stachowiak realizował, stanowi prawdziwą, jedyną i na pewno niepowtarzalną rewelację.

Przejdźmy do faktów, te bowiem są bardziej ciekawe niż chłopski podpiecni pana Stachowiaka. Otóż nasz genialny racjonalizator nie oddawał w ręce klientów żadnego towaru póki go sam nie wypróbował. Tak więc, kiedy przyszedł do GS-u proszek do prania, artykuł cenny i potrzebny, natychmiast poleciał urządzić w domu generalne pra-

nie. Godzi się na tym miejscu dodać, że nie ufał własnemu tylko doświadczeniu, gdyż lojalnie przydzielił ten proszek familiantom i kilku znajomym. I dopiero, gdy wszyscy paradowali już po wsi w czystych koszulach, wydał rozkaz: sprzedawać masom! Ale do tego sprzedawania nie doszło, gdyż proszku już nie było.

Stachowiak jednak nie zalażał się. A nuż uda się z następnym artykułem i dojdzie on do chłopskich odbiorców? Jakoż nadeszły ponoczo, o które o duższego czasu suszyły nam głowy kobiety. Towar jak wiadomo delikatny, wymagał starannego sprawdzenia. Było z tym sprawdzeniem dużo kłopotu, bo ponoczo, jak na złość, przysłało nie mało, coś ze 250 par. Familiantów i znajomych na miejscu nie starczyło, trzeba było posłać do powiatu, gdzie udało się Stachowiakowi znaleźć trochę ludzi chcących dla mas próbować towaru. No ale dla nas nie starczyło pończoch, musiały kobiety wstąpić na nogi same przekonanie, że są dobre.

Wreszcie nie wytrzymałyśmy, ponieważ Stachowiak zabrał się na serio do wypróbowywania na swoich 15 ha pięknych dwusiekówca. Zrezygnowaliśmy oczywiście z genialnej metody i jej twórcy, który zadowolony orzed Sąd Powiatowy. I teraz już wiedcie jak daleko to idzie, każdy, kto zechce metody Stachowiaka upowszechnić.

Józef Mikuta

WYBORCZA BATALIA

Dość tych fochów, złych humorów — idźcie, stara, do wyborów!

Słuchaj, Frącek, nie bądź durny — po co nam iść do tej urny?

Jak to — po co? Też pytanie! Przecież dzisiaj głosowanie!

Głosowanie głosowaniem — a czy musisz ty być na niem?

Nikt nikogo tu nie rusza — lecz gromada cała rusza...

Ej, patrzcie go, ideowca — jak za trzodą goni owca!

Ja nie żadnym owczym pędem lecz obywatelskim względem...

Taka plucha, wicher, słońce, a on w drogę gna... patriota!

Nie chcesz, stara — sprawa prosta! Ja sam pójde — a ty zostań!

Głosowanie! Cóż to da ci? Kto ci za twoje głos zapłaci?

Ach, ty ino z tą mamoną! Utrapienie z taką żoną!

Utrapienie! A ja sobie tam spoglądam, gdzie zarobie!

Oj, zarobisz ty ode mnie — lecz nie będzie ci przyjemnie!

Co za tyran z mego pana! A przed laty: „Ma wybrana!”

Wybrałem cię — kawał osła — lecz, na szczęście, nie na posła!

Nikt mi zalet nie odejmie! Umiabymy gadać w sejmie!

Język masz! Ale posłowie muszą także mieć coś w głowie!

Mam ja głowę, mam — mówię ci — bacząc, skąd mi zysk podcieli!

A chcesz wiedzieć, moja stara! Skorzystamy co niemara!

Ejże? Jak to? W takich czasach też wyborcza jest kielbasa?

Nie kielbasa! Chłop nie kupi — dzisiaj go tym nikt nie kupi!

Więc jak mówisz? Skąd z tych głosów można znaleźć zysku sposób?

Rzecz jest jasna! Ręce ja ci: Państwo wszystkim nam zapłaci!

W złotych — może — czy w naturze?

Mów-że, Frącek, prędko — nuże!

Ach, zapłaci każdej wiosce w coraz większej o włość trocse — traktorami, kombajnami, szepczankami, nawozami i lepszymi wozami!

Podzieli się szczytore z nami świetlicami i szkołami, kinami i teatrami!

Jeśli tyle chłop tu zyska — g ł o s u j e m y! Dajcie pyska!

Witold Degler